Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

W NUMERZE:

wieś
tygodnik społeczno-literacki

Rok IX Warszawa, dn. 23 listopada 1952 r. Nr 47 (381)



Wczesny ranek niedzielny na wsi 26 października 1952 r.

PIOTR CHMURA

Z KRONIKI WIELKIEGO DNIA

Grabowo, pow. Kościerzyna

NA wzgórek, skąd widać całą wieś i dawny dwór, drapał się stary Pobłocki Augustyn. Podpierał go Machnikowski. Co staremu przy niedzieli strzeliło do głowy? Ma 78 lat. Wyleźli. Starzec jeszcze dyszał a już laską robił w powietrzu półobroty aż wycelował. Tak, nie mylę się, w nowy dom Formellowej. Dosłyszałem... **Horn**, po chwili.. **Węsierski**. Ach, o tym wspomina? Formellową przed laty wyrzucił ze służby kułak niemiecki, Horn. Wójt Węsierski jedną tylko miał wówczas radę: możesz wstawić graty do Jasińskiego Fabiana. Jasiński też był kułak, stał mu jeden dom pusto. Do izby wniosła Formellowa graty, wtedy Jasiński zabił gwoździami drzwi a z futryny wyjął okno. Tym oknem wchodzili — ona i dwie córki, 9 i 12-letnia. Babkę 80-letnią jak raz wtaszczyli, to...

Stary Pobłocki wycelował teraz laską na dwór. Słyszę jak Machnikowski, kiwając głową mówi — **Leszczyński** a stary Augustyn trzęsie przecząco głową — **Schnne, Schnne!** — woła.

I to zrozumiałem. Lepszyński był właścicielem dworu. Po pierwszej wojnie kazał się nazywać „Herr Leutnantem" a w 1940 r. nazywał się już **von Schnne...**

Machnikowski, chłop w sile wieku, niegłupi, wyrobiły go dzieci, syna ma na uniwersytecie w Krakowie, córka jedna maszynistką w Gdańsku, druga księgową w naszej spółdzielni produkcyjnej w Grabowie, on też spółdzielca. Myślałem, że Machnikowski będzie prowadził rozmowę. A tu nie. Stary Augustyn, stary Kaszub, wywiózł go za wieś, na wzgórek i prawi, wciąż coś prawi, jakby mu przekazywał wieś i tę ziemię kaszubską aż po sam horyzont. Starzec w blasku różowiejącego na zachodzie nieba wydawał się podobny do proroka na obrazach kościelnych, podobny do naszych dawnych przodków Słowian.

Nie śmiałem drapać się na wzgórze. Czułem, że jest to chwila uroczysta, nie do zamącenia. Słuchałem więc z dołu. Dobiegały rwane wiatrem luźne słowa. Nie wyrozumiałbym sensu, gdyby nie nazwiska.

— Jarka — Gustowski?... — drażnił stary.

— No? — bas Machnikowskiego.

—von Warsenburg, feldmar...

A, to jeszcze z pierwszej wojny, feldmarszałek cesarza Wilhelma, sukinsyn, z pochodzenia — polski obszarnik. O tym pewnie mówi stary Pobłocki.

— Lewiński?...

— No?...

— Mannstein... von Levinsky!...

— Zalewski?...

— No?...

— Bach von Zalewsky!...

To o marszałkach Hitlera, jeszcze Blaskowitz, jeszcze Brauchitsch... wszystko „polscy" panowie. Stary Augustyn wskazuje teraz na cmentarz. Leżą tam rozstrzelani przez SS-manów chłopi Grabowa, w większości fornale i bezrolni. Takim był przed wojną Machnikowski. Leżą tam... Kaszubi — Rucowie, Borzykowscy, Kiszka, Koraszewski, Węsior... Mannsteinów - Lewińskich, Bachów-Zalewskich to dzieło. Jedno uderzenie w lud i naród. Zdrajcy, lisynmany! Na moment zapomniałem o tych na wzgórzu, ale laska Augustyna poczęła krążyć. Starzec przesunął lata, bo widzę, że laska teraz mierzy w co? W autobus, który okrąża właśnie wzgórze. Nie mieliśmy przed wojną żadnej komunikacji. Laska teraz celuje w Ośrodek Zdrowia, teraz w szkołę. Pełna, siedmioklasowa. Teraz obok — w przedszkole. Teraz... chyba w budynek, gdzie co tydzień grają film. Teraz punktuje dwa radiowęzły. Ledwo dowidzę, bo się ściemnia. Już zapadł zmrok. Zniknęło wzgórze, zniknął stary Pobłocki i krzepki Machnikowski. Pewnie schodzą w dół. Nagle rozbłysły światła i raz jeszcze ujrzałem laskę Augustyna, mierzyła w elektryczne światła, drżała w ich blasku aż póki nie wsparła się o lokal wyborczy, który jarzył się wieloma żarówkami, choć dawno już zakończyły się wybory i wiedzieliśmy, że w całym obwodzie nie głosowało tylko 17 osób. Byli to obłożnie chorzy. Ze wzgórza zsuwać się poczęły dwa cienie. Teraz ja mógłbym wskazać kierunek. Kierunek na spółdzielnię produkcyjną.

*

Koleczkowo, pow. Wejherów

PRZEZ okno naszej szkoły widzę, jak pod koniec dnia ustaje deszcz, jak wiatr od morza rozrywa ołowiane chmury, jak wdziera się czerwień zachodu a powyżej błękit czystego przestworza.

Wzdłuż tej czerwieni i błękitu idą z pola dziewczęta. Na pewno umazane, wracają bowiem z kartoflisk. Oj, uwzięły się tej jesieni deszcze i siwizna szronów na ich młodość, na ich zapał, ale czy jest siła zdolna zwyciężyć młodość? Naszą młodość? Wcześniej ukończono pracę, ostatnie fury nikną w obejściach. Wcześniej zapalono lampy. Wcześniej, niż w zwykłą sobotę. W mroku przybywa świateł. To pochodnie, słychać werble, potem muzykę i śpiew. Młodzież urządza pochód, ta młodzież lepiej nieraz rozumie nasze nowe życie...

Ale i starzy... Tego samego wieczora odbył się ostatni wiec przedwyborczy. Ambroży Grablewski sprawił mi wielką radość. — „Uważajta chłopy — powiedział — robię początek. Dla uczczenia wyborów zobowiązuję się przepracować bezpłatnie dwa dni przy budowie naszej szkoły".

Będziemy mieć w Koleczkowie nową, pomorską szkołę. Cóż, panie Darga z Bojana, chcecie zatrzymać bieg historii? Przeliczyliście się, sromotnie przeliczyli, nawet co do kułaczek.

Rosinka Anna i Kopiecka Rozalia kazały sobie dziesięć razy tłumaczyć ale wreszcie pojęły, że im odwagi brak stawać z wami, panie Darga z Bojana. Na 1002 uprawnionych w naszym obwodzie do głosowania, oddało głos 986 osób. Trzech głosowało w innych obwodach, trzech wyjechało, sześć osób chorych i dwie — wy i wasza żona zbojkotowaliście wybory.

Porachujcie sobie raz jeszcze panie Darga z Bojana i zapamiętajcie na przyszłość, że kto w ul dmuchnie temu pysk spuchnie.

*

pow. Iława

AGITOWALIŚMY, agitowali ale o babkach na śmierć zapomnieli. A to był nasz najzagorzalszy stronnik. Kiedyśmy do chat mazurskich wstępowali staruszki siedziały najdalej, pod ścianą, cichutkie, jakby w modlitwie zatopione. Gwar rozmowy zdawał się zamierać u stóp ich fałdzistych spódnic, złożone na kolanach, wychudłe, pomarszczone ręce spoczywały w błogim spokoju, na obliczu cisza zastygała czasem bez miary.

No i nikt z nas nie poprosił: Babuniu, rzeczcie wy swoje słowo..

A one po naszym wyjściu mówiły uroczyście:

Ojców mowo, co pieściła
Matka mnie w kołysce tobą,
Słyń n a n o w o, byś świeciła
nam światłością i ozdobą".

Mówiły:

„Póki duch mazurski wieje
Niech blask jezior nam istnieje".

O żywe matki naszych matek! 89 lat ma Emma Szer. Przyszła do lokalu wyborczego, w naszym obwodzie 159. Komisja się poruszyła, żeby trzymać, podpierać, potem odwozić. Ale staruszka odmówiła.

— Powiecie, żem sił pozbawiona to i rozumu niespełna. A ja będę żyła jeszcze 90 lat, bo przywrócony nam skarb nasz isty.

W głosowaniu nie wzięły udziału w naszym obwodzie dwie osoby, dwie kobiety. Ale one miały inne zadanie, wydawały na świat najdroższych im posłów.

Na punkcie skupu żywca plan za październik osiągnął 200%.

*

Różana, pow. Braniewo

ZEBRANIE na wiosce naszej Różana przeciągnęło się do późna. Mało wiele już brakowało do 6-ej rano. Noc była chłodna, orzeźwiła nas i znów wszczęły się pogwarki na drodze. Opowiadaliśmy sobie o posłach, których my znali, że to prawdziwi pracownicy a nie jakieś dziedzice albo milionery, jak dawniej. Jeden — przewodniczący naszej Rady Wojewódzkiej — to mamy gospodarza, drugi — młodzieżowiec, to z dziećmi będzie porządek, trzeci — rolnik, to nas opatrzy w maszyny i nawozy, czwarty — redaktor, nie znikniemy pod korcem maku.

Inni znów mówili, że teraz Polska nabierze siły i postąpi do jeszcze większej rozbudowy. Ktoś pytał, czy głosować na wszystkich kandydatów — czy chodzić za zasłonę?

Ale mu odpowiedzieli. — A czy rząd ludowy krył się, czy jawnie przeprowadził Reformę Rolną i otwarcie dał ci gospodarstwo w pełnym biegu?

Tylko jeden wyrodek naszego społeczeństwa, Antoni Taronowicz, nie poszedł ze swą żoną do wyborów. Zamieszkiwał on od 1947 r. do wiosny b. roku w gm. Frambork. Kiedy zbierano podpisy pod Apel Sztokholmski, nie podpisał. Była Pożyczka Narodowa, nie dał grosza. A Prezydium Powiatowej Rady na jego żądanie przeniosło go do gminy Pieniężne i masz diabli, do naszej wsi. I znów to samo robi. Łąk wiosennych nie kosił, mało co sieje, teraz nie głosował a na każdym zebraniu zamącenie wprowadza, bo stale ma co do gadania, choć od rzeczy.

Gospodarstwo zaś ma ładne, 11 ha, sporo łąk, sad na pół ha, z którego już by mógł opłacić podatek i jeszcze mieć dla siebie. A on marnuje i mąci.

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

LENIN W PORONINIE

(Fragmenty poematu)

I

Na razie żył tu. Miał mieszkanie,
w Buńdowej chacie, w izbie z sienią.
We wsi góralskiej Poroninie,
daleko od swych w cudzej ziemi.
Grani tatrzańskich tłum się ciżbił,
wprost niskich okien jego izby.

Ludzie tu nieźli, chociaż biedni,
jak się to mówi: boży ludek.
Siedzą w chałupach z czarnych jodli,
że mogli wyżyć, było cudem.

Jednacy ludzie w każdej stronie,
gazdowie w cuchach i piórkaci.
Biedacy w łachach poszarpanych.
Twarze jak ziemia... wołowaci.

II

Wieczorem siadłszy przy kominku,
gdy zmierzch szarawy od gór padał,
czy było światło czy po ciemku,
Lenin góralom opowiadał.

Ciekły więc słowa o ojczyźnie,
co w trójrozdarta, nieszczęśliwa.
O ludzie, który w nędzy więzgnie.
Sami widzicie jak to bywa.

Dla jednych życie się uśmiecha,
tłustością cieknie, szczęściem, złotem.
Ty biedny bracie z głodu zdychaj,
w szczerym gdzieś polu lub pod płotem.

Czy tak być musi?... Kto powiedział?
Słońce ma tylko carom świecić?
Czy po wiek wieków ma być przedział?
w dole ubogi — w górze dziedzic?

Ludu tej ziemi tyś dziedzicem.
Twoje są węgły i przyciesie.
Krzywdzony wieki, sam wysieczesz,
to co cię gnębi. W pył rozniesiesz
wrogów...

W chałupie było cicho
zaparli chłopi swe oddechy.
za ścianą w rzece grało echo
i z grapy księżyc zszedł z pośpiechem.

Wielkie się stanie krwi rozlanie,
rozgwar wojennej słychać burzy.
Lecz z krwi narodów Wolność wstanie
i Przyszłość. Którą śmię wywróżyć.

I padło słowo cichsze. Wobec
przysłuchujących się górali.
Jakby dalekie tony skrzypiec
lecące od hal... Socjalizm!

Słowo to ma skrzypcową nutę,
huk gromu, nurt głębokiej rzeki.
Słowo co woła ludy jutrem.
Hymnem jest czasów niedalekich.

Przeszedł czas długi, przeszły wojny,
tysiącom ludów ojcem Lenin.
Lecz nie brzmi bardziej to dostojnie,
jak wtenczas wieczór w Poroninie.

Bo serce szczere, krwią swą pisze,
czy jedno, czy ich miliony.
„Na maszcie sztandar się kołysze,
a kolor jego jest czerwony".

III

Hej ma Lenin w swojej izbie gości,
przyjechali tajemnie z daleka;
drzwi do sieni otwarte na oścież,
że ma kłopot gaździna narzeka.

Po stodołach pachnie siano świeże,
z macierzanki, bratków, koniczyny.
Gdy którego na sen twardy zbierze,
zaśnie miękko nawet bez pierzyny.



Ciężka walka z wiekowym tyranem.
Bez pardonu. Bój twardy, uparty.
Zwołał Lenin tu do Poronina,
towarzyszy. Trzon sławnej Partii.

Przyjechali z daleka. Przyjechał każdy.
W izbie aże ciemno, lecz gwarno.
Sieje Lenin iskry, jasne jak gwiazdy,
aby płomień buchnął i świat ogarnął.

Płomień żarem historię wypisze
i wypali nowych czasów fakty.
Zjechali się wierni towarzysze,
sławny Leninowski bojowy aktyw.

Lenin wódz, nauczyciel i człowiek,
czas się walki ostatniej przybliża.
Przyleciały orły o skrzydłach szerokich,
które lotów wysokich nie zniżą.

Z ludnych fabryk, kopalń, hut jarzących,
ludzi głodnych do boju powiodą.
Towarzysze Lenina — żagwie płonące,
sławnym będą przykładem narodom.

IV

Przyjechał ten najbliższy, najmilszy,
o sokolim spojrzeniu towarzysz.
Jasnym czynem jak płomień się pali,
a wziął imię od hartownej stali.

Cały żywot swój młody, junaczy,
oddał braci tej czarnoroboczej.
Za nich z carem bój zaczął otwarty,
najdzielniejszy towarzysz Partii.

Czoło w chmurach ma Kazbek wysoki,
lotne orły z chmury rosę piją.
Szumią, szumią wiatry o człowieku
z hardym czołem, z nieugiętą szyją.

Umieją starej Gruzji synowie,
za swą ziemię w bojach umierać.
Nad Stalina większego — sama Gruzjo powiedz,
nie zrodziłaś nigdy bohatera.

Najdzielniejszy towarzysz Partii,
najwierniejszy uczeń Lenina.
Choć nierówne są siły z caratem,
hardej szyi nigdy nie zgina.

Odgarnął chmurę z czoła Stalin,
zakończył Lenin swoją mowę.
Cisza w dolinie, śpi Poronin.
Coś słychać? Idą czasy nowe.

Stanisław Nędza-Kubiniec

Maria Dąbrowska



W 40-LECIE PRACY PISARSKIEJ

JUBILEUSZ 40-lecia pracy pisarskiej Marii Dąbrowskiej jest wielkim świętem literatury polskiej. Oddając hołd zasługom czołowej pisarki współczesnej, widzimy w niej kontynuatorkę najpiękniejszych tradycji literatury narodowej, uosobienie żywej więzi z puścizną wielkich pisarzy przeszłości — Orzeszkowej i Żeromskiego. Maria Dąbrowska reprezentuje postępowy nurt literatury dwudziestolecia, który rozkładowi sztuki imperializmu przeciwstawiał twórczą więź z tradycjami piśmiennictwa narodowego — program epickiego realizmu, oparty ideowo o gorący humanitaryzm, protest przeciw krzywdzie człowieka, żarliwą troskę o przyszłość narodu.

Z bogatego i cennego dorobku pracy pisarskiej Marii Dąbrowskiej najdonioślejszą, trwałą wartość dla historii literatury polskiej posiadają „Ludzie stamtąd" oraz „Noce i dnie".

Zbiór opowiadań „Ludzie stamtąd" odsłonił w swej obiektywnej wymowie wyzysk proletariatu folwarcznego, był przejawem humanitaryzmu, szacunku dla prostego człowieka. Wielki cykl powieściowy „Noce i dnie" to jeden z najpełniejszych w literaturze polskiej epickich obrazów wieloletnich przemian społecznych i ideowych, zachodzących w życiu polskim na przełomie XIX i XX wieku. Powieść Dąbrowskiej odsłoniła przenikliwie proces rozkładu obszarnictwa i krzepnięcia burżuazji polskiej, wskazała szereg istotnych rysów narastania sprzeczności społeczeństwa kapitalistycznego. Rzetelna i wnikliwa obserwacja rzeczywistości, bogactwo problemów życia, wielorakość artystycznie zobrazowanych jego form, niezwykłe osiągnięcia w zakresie języka pisarskiego, sięgającego twórczo po doświadczenia języka ludu — to najcenniejsze elementy pisarskiego dorobku Marii Dąbrowskiej. Dzieła autorki „Nocy i dni" upoważniają nas, współczesnych czytelników i miłośników jej wielkiej twórczości, do wysunięcia pod jej adresem postulatu, by nowymi utworami, obrazującymi trud i wielkość naszych dni, wzbogaciła współczesną literaturę polską.

STANISŁAW MĘDELSKI

POWIEŚĆ O DWÓCH CYWILIZACJACH



PODCZAS lektury powieści radzieckiego pisarza Tichona Siomuszkina zatytułowanej *„Alitet odchodzi w góry“ *)* nieodparcie przychodziły mi na myśl niektóre fragmenty „Listów Ameryki“ Henryka Sienkiewicza. Były to te partie, w których Sienkiewicz ukazuje stosunek białych kolonizatorów do tubylczych plemion Indian. Sienkiewicz opisuje dolę Indian z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, natomiast akcja powieści Siomuszkina toczy się w pół wieku później i w dodatku przedmiotem jej jest życie pierwotnego ludu Czukczów. A jednak oddajmy na chwilę głos Sienkiewiczowi. Oto jak charakteryzuje on „apostołów“ zachodniej cywilizacji: *„Apostołowie, to najprzód kupcy, którzy oszukują tubylców; dalej awanturnicy, którzy zdzierają mu skórę z głowy; dalej traper, który przed wigwamami poluje na bawoły dostarczające czerwonym pożywienia; wreszcie amerykański komisarz rządowy z papierem, na którym między innymi napisano: Mane, tekel, fares! dla całego plemienia“*. Dalej notuje Sienkiewicz: *„trudno jest zrozumieć, do jakich granic dochodzi nienawiść i pogarda Amerykanów wobec Indian“*. A rezultatem tej nienawiści i pogardy jest taki oto obraz ziemi amerykańskiej, skreślony przez Sienkiewicza: *„Spojrzawszy naprzód, widzisz tylko szarą, nieskończoną równinę, a na niej krzywe krzyże. Jak okiem dojrzysz — całe szeregi smutne, cementowane i nic więcej prócz tych krzyżów, które zdają się być szlakiem, wiodącym w krainę śmierci lub mogilnikami na grobach wędrowców. Bo też i są nagrobkami; stoją one na mogiłkach pierwotnych dzieci tej ziemi. Gdzie tylko taki krzyż się pojawi, tam giną ludy, a wczorajsza wielka cisza zmienia się w gwar handlujących, kupujących, oszukujących i oszukiwanych“*. Te fragmenty warto czytelnikom powieści Siomuszkina przypomnieć dlatego, że podejmuje on ten sam właśnie problem kapitalistycznego „cywilizowania“ ludów pierwotnych, naszkicowany w „Listach z podróży“ młodego Sienkiewicza.

Cytaty z Sienkiewicza zasługują na uwagę także i z tego względu, że również w powieści Siomuszkina mamy do czynienia z cywilizacją amerykańską. Bo trzeba wiedzieć, że wprawdzie półwysep Czukczów od dawien dawna należał do Rosji, ale carskie imperium nie interesowało się nim wcale, przy czym „wcale“ należy rozumieć jak najbardziej dosłownie, gdyż półwysep oddzielały od kontynentu niedostępne góry; pozostawała więc tylko trudna i niebezpieczna okrężna droga morska przez cieśninę Beringa i zamarzające morze Arktyczne. Nic zatem dziwnego, że tubylcy przez długi czas pozostawieni byli sobie samym. Nie znaczy to jednak, że półwysep Czukocki, ze względu na swe warunki geograficzne odcięty był od świata w ogóle. W lecie, przy sprzyjającej pogodzie, można się było doń dostać z pobliskiej Alaski przez cieśninę Beringa nawet na zwykłej barce. W takiej sytuacji bardziej przedsiębiorczy „apostołowie“ amerykańskiej „cywilizacji“ zaczęli przejawiać zainteresowanie sąsiadującym z Alaską półwyspem Czukczów. Zgodnie z tak świetnie przez Sienkiewicza podpatrzonym i zdemaskowanym „bussinesowym“ charakterem amerykańskiej cywilizacji, na ziemię Czukczów przybyli najpierw kupcy.

Otóż pierwszy tom powieści Siomuszkina jest niemal w całości poświęcony ukazaniu, jak nieludzka, chydna w swym założeniu i realizacji była ta amerykańska, kupiecka pseudo - cywilizacja. Akcja powieści zaczyna się w roku 1922, a więc w piątym roku istnienia władzy radzieckiej w Rosji. Pierwotni Czukczowie żyją jednak tak jak przed laty. Nic się nie zmieniło także jeszcze w życiu przebywającego wśród nich od dwudziestu lat amerykańskiego kupca Thompsona, do którego tylko raz do roku zawija przemytniczy statek, przywożąc mu towary i stare gazety, a zabierając od niego futra lisów polarnych i kły morsów. Cóż mógł mister Thompsona obchodzić jakiś tam „bunt“ robotników w odległej Rosji, skoro on był tu, na rozległych połaciach tego zakutego w lody kraju, jedynym przedstawicielem „cywilizowanego“ świata, był właściwie niekoronowanym władcą pierwotnego ludu. Obchodził go tylko handel, bo dzięki niemu nieustannie rosło w Stanach bankowe konto mister Thompsona. A handel był to osobliwy. Przemytnicy dostarczali mu towar najtańszy, a więc zleżałą herbatę i zwietrzały tytoń, tandetne strzelby myśliwskie i oczywiście wódkę, bez której nie sposób sobie wyobrazić amerykańskiej „cywilizacji“. Za te kupione za bezcen „towary“ Thompson otrzymywał od Czukczów w drodze wymiany bardzo cenne i poszukiwane na amerykańskim rynku skórki polarnych lisów. Oczywiście podstawą kalkulacji handlowych kupca wobec tubylców były nie jego kapitały, lecz umiejętność wykorzystania niewiedzy i prymitywu bytowania Czukczów

Pomyślną realizację swego głównego założenia ideowego: ukazania rzeczywistej cywilizacji socjalizmu, zdemaskowania amerykańskiego „apostolstwa“, zawdzięcza autor przede wszystkim temu, iż potrafił zapanować nad egzotyką materiału literackiego, że nie dał się ponieść łatwemu i kuszącemu opisowi bezideowych ciekawostek i dziwactw, z jakich dla białego człowieka na pierwszy rzut oka zdawało się składać życie pierwotnych Czukczów. Czy znaczy to jednak, że powieść Siomuszkina wyprana jest z barwnej specyfiki spraw związanych z codziennym bytowaniem ludu polarnych łowców? Nic podobnego. Powieść rysuje przed czytelnikami bogaty i wszechstronny obraz tubylczej kultury, obyczajowości i życia społecznego. Artystycznym sukcesem Siomuszkina jest umiejętne podporządkowanie wszystkich egzotycznych właściwości czukockiego materiału literackiego realistycznej metodzie odtwarzania rzeczywistości w sztuce. Dzięki temu powieść ta jest dowodem, że ani egzotyka nie przeszkadza realizmowi, ani realizm nie unicestwia egzotyki. Jej autor nie zajmuje postawy jakiegoś podróżnika, kolekcjonera psychogeograficznych ciekawostek, postawy do znudzenia powtarzającej się w „egzotycznych powieściach“ literatury burżuazyjnej. Siomuszkin zajmuje jedynie słuszną pozycję głęboko humanistycznego szacunku i troski o wydobycie i zachowanie wszystkich wartościowych elementów w dziedzinie życia społecznego Czukczów. Taka właśnie postawa pisarska Siomuszkina pozwoliła mu na zasadnicze przeciwstawienie się owej pseudo - cywilizacji niesionej przez Amerykanów, która pod przykrywką swej rzekomej wyższości i doskonałości wnosi do pierwotnej kultury Czukczów nieznane tam dawniej pojęcia oszustwa, podstępu, zbrodni.

Siomuszkin nie zadowolił się jednak jedynie krytyką metod „cywilizacyjnych“, stosowanych przez „apostołów“ kapitalizmu. Znaczna część pierwszego i cały drugi tom powieści ukazuje bowiem proces wrastania pierwotnych Czukczów w socjalizm. W tych partiach powieści wielkim sukcesem ideowo-artystycznym Siomuszkina jest ukazanie, iż nie było zasadniczych sprzeczności między tendencjami rozwojowymi ludów polarnych myśliwych a tym, co przynosiła im nowa socjalistyczna kultura i cywilizacja, torująca sobie drogę nie oszustwem i gwałtem, ale spokojną, rozważną perswazją, zaufaniem do inteligencji i mądrości tubylców oraz tym prawdziwie humanistycznym szacunkiem i troską o człowieka, jakie rewolucja socjalistyczna wprowadziła w życie, utrwalając go w formie równouprawnienia.

Charakterystyczne jest na przykład, że pierwszym widomym znakiem cywilizacji amerykańskiej było zapoczątkowanie wśród pierwotnej społeczności Czukczów ostrego rozwarstwienia klasowego. Tytułowy bohater powieści, Alitet, dzięki temu, iż pośredniczy w kupieckich spekulacjach Thompsona wybija się szybko ponad ogół myśliwych, których życie i egzystencja zależały tylko od dość kapryśnego szczęścia na polowaniu. Alitet, dzięki temu, iż Amerykanin „zmonopolizował“ niejako w jego ręku pośrednictwo handlowe, uzależnia od siebie całą okolicę, stosując równocześnie nacisk ekonomiczny i religijny (ten ostatni za pomocą swego ojca szamana) i chociaż nikt go w gruncie rzeczy nie szanuje, bo wszyscy wiedzą, że to zły człowiek, każdy schodzi mu z drogi, bo tylko u niego można w zimie dostać trochę mięsa foki (on poluje na amerykańskiej szalupie, wszyscy inni na małych ze skór szytych kajakach), od niego zależy cena lisiej skórki. Największą chyba zaletą ideowo - artystyczną tej partii powieści Siomuszkina jest ukazanie, jak Alitet, wraz ze zdobyciem z łaski swych amerykańskich „dobroczyńców“ uprzywilejowanej pozycji klasowej, coraz bardziej podlega procesowi upodlenia. Psia służba u amerykańskiego kupca doprowadza go nie tylko do bezmyślnego małpowania stroju i sposobów bycia „białych“, ale uczy go także bezwzględnego łamania tych odwiecznych obyczajów swego ludu, które są mu niewygodne. Dalsza „ewolucja“ prowadzi Aliteta do znienawidzenia własnego ludu i ślepego kultu dla wszystkiego co amerykańskie.

Jakże inna była droga rozwojowa ubogiego Czukcza Ajjego, którego Alitet najzłośliwiej upokorzył, pozbawiając go żony (oczywiście wbrew jej woli). Skierowany przez miejscowe władze radzieckie wyjeżdża na roczny pobyt do południowych i zachodnich części Związku Radzieckiego i wraca stamtąd jako wykwalifikowany kapitan rybackiego kutra, aby przyswojone sobie od ludzi radzieckich nowoczesne zdobycze techniki w zakresie rybołówstwa morskiego przekazać swym jeszcze prymitywnie żyjącym rodakom.

Siomuszkin przekonywająco ukazał w swej powieści narodziny nowego życia, które na półwysep Czukocki przyniosła władza radziecka. Dzisiaj Czukczowie to szczęśliwy naród wolnych ludzi, niezależnych już od łaski amerykańskich „apostołów“. Stalin, charakteryzując rozwój republik i krajów radzieckiego Wschodu podkreślił, że są one „wolne od ucisku imperialistycznego“, że „rozwijają się one i konsolidują jako narody nie pod egidą burżuazyjnego ustroju, lecz pod egidą Władzy Radzieckiej“. Tę właśnie specyfikę procesu formowania się narodu Czukczów trafnie uchwycił i odzwierciedlił Siomuszkin. W ten sposób powstała powieść o dwóch cywilizacjach. o dwóch drogach życia; powieść cenna i mobilizująca. Rzadko, bardzo rzadko trafia się taki utwór, który czytelnik skończywszy czytać, otwiera z powrotem na pierwszej stronie i zaczyna od nowa... Powieść Siomuszkina jest jednym z nich.

Stanisław Mędelski

*) *Tichon Siomuszkin. Alitet odchodzi w góry, „Książka i Wiedza“, 1952, tłum. Maria Traczewska.*

ALEKSY SURKOW

PODNIEŚCIE GŁOS SWÓJ, UCZCIWI LUDZIE!

Nad lasem chłodny świt rozpostarła
jak skrzydło pochmurna jesień.
Parzy nas gniew stojąc w poprzek gardła
i — mów! — do okrzyku rwie się.
Czas, aby prawda gniewna i gorzka
mówiła wreszcie do wszystkich.
Niech w Paryżu, w Londynie, w New Yorku
rozbłysną słowa — pociski.
Jeszcze odłogiem pole spoczywa,
jeszcze łzy wdów nie obeschły,
a już ziemię napowrót okrywa
wojny żałobny cień przeszły.
Na złom treść pokojowych traktatów!
W skrzyniach butwieją słów kopce.
Znowu drapieżna dłoń potentatów
sięga na mapie po obce.
Z trybuny łgarze piętnują zabór
i pokój ślubują światu.
To specjaliści z wojennych sztabów,
co poszli na dyplomatów.
Polubili pokoje z opalu,
ciszę w poselskich pałacach,
więc odbiera im sen na Uralu,
w Syberii i w Baku praca.
Bomb atomowych cała wystawa,
na składzie dość tego mają!
Na wpół trupia podnosi się zjawa
faszystów i samurajów.
Lecz podżegaczy zza oceanu
czeka dziejowa porażka.
Niedawnej wojny krwawiąca rana
nakaże utrzymać straż nam.
W głębi kopalń uranu nie starczy,
by dziejów bieg przeinaczyć.
Wyrok wolnych narodów obarczy
zbrodniarzy i podżegaczy.
Widzę już kres zgotowany katom,
gdy pójdą przed sąd ludzkości.
Nie uratuje ich dolar czy atom,
nie będzie dla nich litości.
By nie ryknęły działa wśród żywych,
przeciw knowaniom wrażym
podniesie głos swój, ludzie uczciwi,
zerwijcie maskę zbrodniarzy!

Przełożył **Grzegorz Timofiejew**

JANUSZ MACIEJEWSKI

W stronę klasyki radzieckiej (VI)*

„CZŁOWIEK ZAWSZE IDĄCY NA CZELE“

„KLĘSKA“ Aleksandra Fadiejewa, opublikowana po raz pierwszy w r. 1927, należy do klasycznych utworów literatury radzieckiej, sięgających do tematyki lat wojny domowej i interwencji; w historii realizmu socjalistycznego figuruje obok tak znakomitych dzieł jak „Czapajew“ Furmanowa i „Żelazny potok“ Serafimowicza. Obraz Wielkiej Rewolucji Październikowej i obraz walk toczonych w jej obronie przez długie lata wojny domowej i interwencji, to jeden z wielkich tematów literatury radzieckiej. Wciąż sięga ona do tego przełomowego czasu w dziejach ludzkości, do korzeni wielkich zwycięstw dzisiejszego dnia budowy komunizmu — do okresu, w którym wyzwolona została przepotężna siła rewolucyjna drzemiąca w masach ludowych; do czasu, który w napięciu walki o wyzwolenie ustokrotnił siły i heroizm ludu, męstwo i mądrość jego wodzów. Mobilizującą siłę wielkiej historii rewolucji i jej obrony znakomicie określił Majakowski we wstępie do swego poematu „Dobrze“, opiewającego dni Października i dni budowy socjalizmu:

„Ja chcę, byś tę książkę
czytając był gotów
Z ciasnoty ścian czterech
wyszedłszy
Iść znowu na plecach salw
kulomiotów
Ze strofą wiejącą na wietrze.
Aby z tej księgi, dowodu
szczęścia,
poprzez radosne oczy
tryskało źródło w zmęczone
mięśnie
budującej, buntującej mocy“.

Taką też rolę spełnia znakomita powieść Fadiejewa, która zrodziła się z osobistych doświadczeń autora, z głębokiego przeżycia czasów, kiedy: *„Pełni młodzieńczych nadziei, z tomikami Gorkiego i Niekrasowa w uczniowskich tornistrach weszliśmy w rewolucję. Był w nas patos walki o wolność, bo nad Syberią i rosyjskim Dalekim Wschodem objął wtedy władzę admirał Kołczak, a była to władza okrutniejsza jeszcze niż władza starego reżimu. Był w nas patos patriotyzmu, bo ziemię ojczystą deptał podkuty but japońskiego najeźdźcy“*. Ten porywający patos walki, który towarzyszył pięknej młodości Fadiejewa, odnajdujemy także na kartach „Klęski“.

Lato i jesień 1919 r. (czas akcji „Klęski“) to najbardziej naprężone miesiące wojny domowej. Kołczak opanował całą Syberią Na zachodzie dochodził już do Wołgi. Na wschodzie, przeciw rozwijającemu się na tyłach „białych“ ruchowi partyzanckiemu wezwał na pomoc interwentów japońskich, którzy zaczęli okupować radziecki Kraj Nadmorski. W tych ciężkich dla Republiki Rad chwilach Partia wezwała cały naród do obrony zdobyczy rewolucj. Na hasło *„ojczyzna socjalistyczna w niebezpieczeństwie“* wokół bolszewików skupili się wszyscy patrioci. Tysiące ochotników wyruszyło na front; zaciągnęło się do oddziałów partyzanckich. Kołczak został odparty, a następnie zupełnie pobity; Syberia wyzwolona. „Klęska“ nie zawiera pełnego, wyczerpującego, epickiego obrazu tych zmagań. Opowiada ona o drobnym wycinku całości walki z Kołczakiem i interwentami. Reprezentuje go historia niewielkiego, 150-osobowego oddziału partyzanckiego, działającego na Dalekim Wschodzie, w okolicach Władywostoku, w rejonie pasma Udegijskiego gór Sichoto-Alijskich i dolin rzek Irochedzy i Chaunichedzy. Jednak, dzięki odpowiedniemu doborowi i selekcji materiału powieściowego, uzyskujemy na przykładzie drobnej jednostki wojskowej odzwierciedlenie prawdziwego układu sił społecznych, biorących udział w wojnie domowej, otrzymujemy obraz typowy, mogący służyć jako ilustracja najdonioślejszych konfliktów tego okresu. Sam Fadiejew przejrzyście sformułował teoretyczne założenia swojego obrazu literackiego: *„Pierwsza i zasadnicza myśl: podczas wojny domowej odbywa się selekcja materiału ludzkiego“*. W myśl tego założenia skomponowana została cała powieść; jej głównym tematem jest właśnie proces przeobrażania się ludzkich charakterów w krzyżowym ogniu zmagań z kontrrewolucją. „Materiał“ uczciwy, szczerze związany z rewolucją zostaje; chwiejni i niepewni muszą odpaść. Takie jest prawo historii.

Ludzie, którzy stanęli w obronie socjalistycznej ojczyzny, nie byli wykuci z jednej bryły moralnej. Długoletnie destrukcyjne oddziaływanie ustroju kapitalistycznego pozostawiło na nich swe ślady w różnych skłonnościach i nawykach, we wzajemnym do siebie stosunku. Podstawy moralności komunistycznej, socjalistyczny stosunek do wspólnego dobra, wyrabiały się u nich w toku wojny domowej, w szeregach Armii Czerwonej. Prawdę tę bez osłonek, bez mdłego lakiernictwa ukazuje Fadiejew w swojej powieści (górnik Morozka, chłop Kubrak). Zdarzał się w Armii Czerwonej także element z natury obcy — różne odpryski starego świata, które w szeregi oddziałów partyzanckich przyciągnęło awanturnictwo czy chęć zabłyśnięcia (Czyż). Wreszcie trafiali się ludzie za *„drobnomieszczańskim, pseudo - humanizującym frazesem“* kryjący zdradę sprawy rewolucji (Mieczyk). Nad takimi jednostkami góruje jednak masa szczerze oddanych rewolucji robotników i chłopów; oddanych, co nie zawsze jeszcze oznacza, rzecz jasna, wychowanych w duchu komunistycznym (Morozka, kradnący melony, ale w potrzebie bohatersko oddający życie dla swych towarzyszy). Autor świadomie podkreśla czystość i prawość charakteru takich ludzi; ludzi, którzy w ciężkiej chwili nigdy nie zawiodą — w przeciwieństwie do Czyżów, czy mięczakowatych, stale grzebiących w swej „jaźni“ Mieczyków. Siłą zaś organizującą i wprawiającą w ruch te masy jest Partia — myśl i wola rewolucji, w powieści Fadiejewa wcielona w piękną postać bolszewika Lewinsona.

Zwycięstwo w wojnie domowej bolszewicy zawdzięczali temu, że po stronie rewolucji opowiedział się cały lud pracujący, że poparł ją w swej masie także chłop-średniak. Prawdę tę obserwujemy na stronicach książki Fadiejewa. Wsie, przez które przechodzi oddział Lewinsona, sympatyzują z partyzantami (z wyjątkiem oczywiście jednostek: popów i kułaków). Widzimy, jak ludność wiejską ogarnia coraz potężniejszy gniew na interwentów: *„Japończyk przedwczoraj wlazł do Sundugi, chłopcy z Czugajewki gadali... Tfu, do diabła... — urwał z nienawiścią ostro machnąwszy ręką, jakby coś odrąbywał“*. Gniew ten wyraża się nie tylko w klątwach. Wszak partyzancki oddział Lewinsona składa się w większości z chłopów. Znajdujemy w nim zarówno reprezentantów średniaków np. Kubraka, jak i bezrolnego pastucha Mietielicę, jedną z najpiękniejszych, całkowicie oddanych rewolucji postaci w książce. Powieść Fadiejewa pokazuje przy tym inny jeszcze fakt: to, że istotną siłę kierowniczą w wojnie domowej stanowiła klasa robotnicza. Mimo przewagi elementu chłopskiego trzon oddziału w „Klęsce“ stanowi pluton Dubowa, złożony z górników z pobliskiej suczańskiej kopalni węgla: *„Jeden tylko Dubow zdołał tym razem rozlokować porządnie swój pluton w sąsiadujących ze sobą chatach. Jego ludzie pełnili warty przy wsi i pomagali Lewinsonowi gromadzić zapasy żywności. Tego dnia właśnie stało się jakoś jasne to, co dawniej nikło w powszechnym podniosłym nastroju i w jednakowym dla wszystkich dniu powszednim — to mianowicie, że cały oddział opiera się w gruncie rzeczy na plutonie Dubowa“*.

W tak zróżnicowanym społecznie i ideowo środowisku Fadiejew pokazał narodziny nowej świadomości człowieka radzieckiego. Literatura radziecka, obrazując splątane dzieje wojny domowej i walki z interwencją, ukazując wielką burzę historyczną, która przewalała się latami na terytorium Kraju Rad, umiała w chaosie walk i starć, zwycięstw i klęsk, w zamęcie losów milionów dostrzec zjawiska najistotniejsze, decydujące o sensie lat dla budowy przyszłości, o perspektywach dni jutrzejszych. Takim podstawowym zjawiskiem o niezwykłej doniosłości historycznej było właśnie obudzenie rewolucyjnej świadomości mas. Przekształcenie milionów ludzi płonących żywiołowym gniewem i nienawiścią do wyzyskiwaczy, ale też często przenikniętych bezradnością rozpaczy płynącej z okrutnych doświadczeń lat wojny, przekształcenie tych ludzi w żelazną, świadomą, zahartowaną gwardię rewolucji — to wielki temat literatury radzieckiej, obrazującej dzieje lat 1917 — 1921, najpełniej może zrealizowany w „Żelaznym potoku“ Serafimowicza. Podjął go także Fadiejew i szczególnie trafnie zobrazował w postaci partyzanta Morozki, który oddaje swe życie dla uratowania towarzyszy. W ostatniej chwili przed decyzją, która przyniesie ocalenie uratowanym resztkom oddziału partyzanckiego i śmierć bohaterskiemu partyzantowi, Morozka: *„...wyraźnie pojął, że nigdy nie ujrzy zalanej słońcem wsi i tych bliskich, drogich ludzi, jadących za nim. Czuł jednak w sobie tak jaskrawo tych zmęczonych, nie podejrzewających niczego ludzi, którzy mu zawierzyli, że nie zrodziła się w nim żadna myśl o jakimś innym wyjściu dla siebie prócz możliwości uprzedzenia ich o niebezpieczeństwie. ...Chwycił rewolwer i uniósłszy go wysoko nad głową, by lepiej było słychać, wystrzelił trzykrotnie tak jak było umówione...“* W tym mistrzowskim skrócie literackim ukazał Fadiejew całe piękno duchowe człowieka, który zrodził się w ogniu rewolucji, wykształcił w sobie najpiękniejsze cechy ludzkie. Olbrzymią rolę w tym procesie odegrał Lewinson, uosobiający siłę partii komunistycznej, jej kierowniczą rolę wśród mas ludowych.

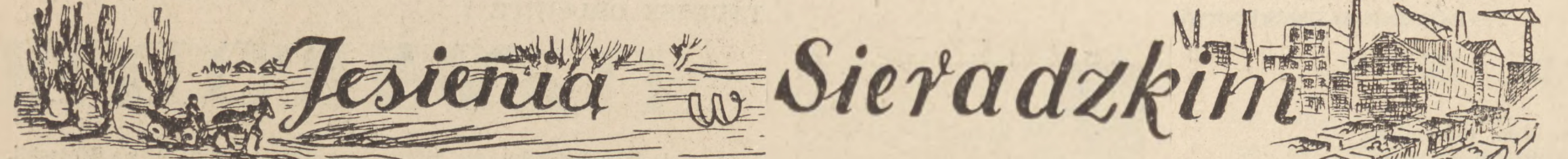
Lewinson — *„człowiek zawsze idący na czele“*, to jeden z najpiękniejszych bohaterów pozytywnych literatury radzieckiej. Lewinson jest w każdym calu ludzki. W oddziale panuje powszechne przekonanie o doskonałości Lewinsona jako dowódcy, o jego niesłychanej odwadze. Lewinson wie o tym i stara się przekonanie to podtrzymać. Tymczasem za wspomnień jego samego wiemy, że nie było tak od początku: *„W tym pierwszym okresie, kiedy zupełnie bez przygotowania wojskowego, nie umiejąc nawet strzelać, musiał dowodzić całą masą ludzi, czuł, że to w gruncie rzeczy nie on dowodzi, że sprawy idą własnym nurtem, niezależnie od niego, pomimo jego woli. Nie chodziło tu o to, że niesumiennie spełnia swój obowiązek, nie, usiłował dać z siebie jak tylko mógł najwięcej... Szło o to, że w tym pierwszym, niedługim zresztą okresie swojej wojskowej działalności zużywał wszystkie niemal siły duchowe na to, aby zdusić w sobie i nie okazać ludziom strachu przed śmiercią, który, chcąc nie chcąc, odczuwał w czasie bitwy“*. I później, kiedy stanie się już doświadczonym dowódcą nie przychodzi mu łatwo podejmowanie decyzji, decydujących o życiu i śmierci półtorej setki ludzi. Nie okazuje jednak tego przed partyzantami. Dla nich pozostaje zawsze doskonałym, nigdy nie wahającym się Lewinsonem. Tajemnica wielkości Lewinsona polega na tym, że autor wyposażył go w najbardziej ludzkie odczucia.

Idea socjalizmu, wysoka, żarliwa partyjność stanowi główny element przepajający książkę. Dzięki jedności światopoglądu i metody twórczej mógł Fadiejew ukazać rzeczywistość w jej dialektycznym, rewolucyjnym rozwoju, mógł ukazać zasadniczy układ istniejących sił klasowych, a jednocześnie dostrzegł to co nowe, rozwijające się. Znaną dewizę Lewinsona *„umieć widzieć wszystko takim, jakim jest, aby to, co jest, zmieniać, zbliżać to, co się rodzi i co być powinno“* — można uznać za myśl przewodnią samego autora w jego praktyce twórczej; myśl, dzięki której mógł on wkroczyć na drogę realizmu socjalistycznego, mógł stworzyć tak wspaniałe kreacje bohaterów pozytywnych, jak Lewinson czy Mietielica lub Bakałanow.

Osobne zagadnienie, to sprawa optymizmu przenikającego książkę, mimo, że jej zakończenie bynajmniej nie jest szczęśliwe. Przykład „Klęski“ — tej „optymistycznej tragedii“ czasów jest właśnie dobitnym dowodem, jak uproszczone jest łączenie postulatu optymizmu w realizmie socjalistycznym z tak zwanym „szczęśliwym zakończeniem“ utworu. Optymizm „Klęski“ jest bowiem wynikiem, emanacją całości utworu. Bohaterowie powieści Fadiejewa od początku wiedzą o ciężkiej sytuacji, w jakiej się znajdują. W ich myślach jednak nie wyczuwamy katastrofizmu. Przeniknięci są w całości aktywną, radosną wolą wytrwania i zwycięstwa. I nie są w tym sami. Razem z nimi tak samo myśli i czuje cały naród, tak myślą i czują chłopi ze wsi, przez które przechodzą partyzanci. Jesteśmy świadkami ich wzbierającego gniewu na najeźdźcę. Wiemy, że tacy ludzie, mimo klęski jednego z oddziałów partyzanckich, zdolni są wydać dziesiątki nowych oddziałów. Obce jest im bowiem moralne załamanie, silna zaś wola zwycięstwa. Wszystko to sprawia, że powieść, mimo klęski oddziału — bohatera utworu, napełnia pewnością, że sprawa nie została przegrana, że jest ona niezwyciężona. Dlatego słusznie badacze radzieccy porównują „Klęskę“ z innym wielkim dziełem realizmu socjalistycznego, które podobnie kończy się przemijającą klęską, a faktycznie zwycięstwem sprawy — z „Matką“ Gorkiego.

Janusz Maciejewski

*) *Dotychczas opublikowane artykuły cyklu: R. Hładko, W terminie u A. Tołstoja, nr 38; A. Bartoszewicz, Pozytywni bohaterowie „Czapajewa“, nr 39; I. Maciejewska, „Cement“ — epopeja pracy socjalistycznej, nr 40; Z. Żabicki. W czołówce pierwszej pięciolatki, nr 42; Z. Sikorska, Bohater naszych czasów, nr 46.*



STANISŁAW SIEKIERSKI

NA TROPACH PIONIERSKIEGO ZACIĄGU...

OD przeszło chyba godziny toczy się interesująca dyskusja w powiatowym Zarządzie ZMP w Sieradzu na temat Zaciągu Pionierskiego. Interesująca, ponieważ z miejsca ujawniły się wyraźne różnice zdań, ba! — nawet sprzeczności.

Kolega Kempa, przewodniczący z gminy Złoczew spokojnie, lecz pewnie przekonuje, że dokonywanie zaciągu w jego terenie to czysty nonsens. Kogóż bowiem zaciągać? Cała młodzież w szkołach, SP,



J. K. Maciejewski

Wojsku Ludowym, robotnicza Łódź dawno ją wchłonęła i okoliczny przemysł.

— Nie można zabierać ze wsi ostatnich chłopaków i dziewczyn, ojcowie się nie zgodzą, bo któż będzie robił w polu i ziemię dziedziczył. Zadrażnimy tylko sytuację, a — jak wiadomo — wroga propaganda usiłuje sparaliżować naszą robotę..

Wyczuwam wśród zebranych przygnębienie. Za oknem pada deszcz, przelatują zmokłe wrony, ludzi na ulicy prawie nie widać. Jeszcze chwila, a dyskusja pójdzie na manowce.

Oto słyszymy bardziej rzeczowe niż Kempy sprawozdanie. W powiecie istnieje poważny ośrodek przemysłowy Zduńska Wola, poszło tam niemało wiejskiej młodzieży. W Sieradzu duża szkoła zawodowa i Technikum Mechaniczne, a w powiecie jeszcze 5 takich szkół, skupiających ponad 1000 wartościowej młodzieży. A średnie ogólnokształcące? Wołają o ludzi PGR-y, dopominają się rozmaite instytucje spółdzielcze, przede wszystkim GS-y o młodzież, w Sieradzu powstanie niedługo fabryka krosien. Jakże sprostać takiemu „zamówieniu" na ludzi?

Osobliwa sprzeczność. Z jednej strony cieszą się uczestnicy narady, że tak dobrze rozwija się ich młodzież, z drugiej mają wrażenie, jakby tworzyła się wokół nich jakaś pustka, bezludzie..

Wystąpienie kol. Wiesławy, instruktora z Zarządu Wojewódzkiego było zupełnie niespodziewane.

— Sieradz wypełnił limit poprzednim razem. Wypełni i teraz. Cenię Wasze sprawozdanie, wolę jednak przyjrzeć się rzeczywistości. Pojedziemy do Złoczewa, do kolegi Kempy, na to jego odludzie...

*

Śnieżyca szalała całą noc. Jeszcze rano następnego dnia dął silny wiatr. Autobus przebijał się z trudem przez zaspy, liczyliśmy połamane drzewa, powalone słupy telefoniczne. Dojechaliśmy w końcu do Złoczewa.

Warto by w tym miejscu poprosić satyryka, by napisał w jaki to sposób usiłowaliśmy odnaleźć Gminną Komendę SP. Instruktor powiatowy twierdził uparcie, że mieści się ona w prywatnym sklepie, pod szyldem braci Kołodziejskich. Uwierzyć trudno, ale nie było innego wyjścia. Prawdę jego słów potwierdziła dziurka od klucza, przez którą zobaczyliśmy biurko, mnóstwo plakatów, tylko żywego człowieka nie było. Mogliby przynajmnie zdjąć szyld po prywatnym sklepikarzu. Komendant mignął nam przed oczyma, zobaczywszy jednak obcych zniknął jak przysłowiowa kamfora.

Rozpoczęliśmy wstępne obliczenia, bez udziału SP. Sprawozdanie Gminnego Zarządu ZMP wykazywało, że interesującej nas młodzieży w gminie nie ma. Połowa uczy się w szkołach, część przeniosła się na stałe do ośrodków przemysłowych i PGR-ów, część w SP i wojsku. Reszta przy rodzicach.

Lecz co to znaczy — przy rodzicach? Postanowiliśmy sobie na to pytanie odpowiedzieć. Kolega Kempa zmienił swoje zdanie, był raczej skłonny dokonać przeglądu rodzin, po prostu iść od chałupy do chałupy...

Poszliśmy do Szklanej Huty, brnąc po kostki w błocie, starając się początkowo chronić buty. Wokół ciągnęły się smutne pola, ni to zielone od ozimin, ni to białe od śniegu. Ustaliliśmy, że odwiedzimy dwu młodych ludzi — ZMP-owca i niezorganizowanego, ewentualnych kandydatów na Zaciąg Pionierski.

*

A oto i Stanisław Wdowik, członek ZMP. Dziurawe buty gumowe na nogach, uwija się energicznie po podwórku, dwoje młodszego rodzeństwa stoi w progu domu i uważnie obserwuje pracę najstarszego z młodego pokolenia Wdowików.

Wychodzą i starzy, rozmowa idzie gładko Wdowik słucha Kempy bardzo uważnie. Po chwili sytuacja jest jasna. Przewodniczący Zarządu Gminnego ZMP rumieni się lekko, kiedy Stasiek, a za nim starzy Wdowikowie stwierdzają, że nic o apelu do młodzieży nie słyszeli. Cóż, radia nie mają, ostatnio roboty w polu i z dostawami było wiele, do gazet prawie nie zaglądali. Wszyscy jednak słyszeli o tym, że ostatnio „gdzieś tam komuś" w kopalni połamało żebra, że „junaki pouciekały ze Śląska", bo praca tam „nie do wytrzymania".

No i jak kolego Kempa, nie zrobiliście roboty wy, zrobił ją wróg — nikt tego przewodniczącemu nie powiedział, ale sam tylko wyraz jego twarzy wskazywał, jak dalece przeżywa ową rozmowę z Wdowikami.

Wiesława pokazuje małej Jadzi książeczkę dla dzieci. Kolorowy górnik z bajeczną kitą na czapce oświeca jasno latarnią robotniczą kolonię mieszkaniową. Nasza instruktorka znajduje w swojej przepaścistej teczce zawsze coś stosownego do sytuacji. Mała klaszcze w rączki, tak bardzo cieszy się, że będzie miała brata górnika. Jej dziecinna radość wśród chmurnego dnia udziela się po trosze i nam.

Marian, drugi syn Wdowików także na swój sposób przeżywa decyzję brata. Będzie gospodarzył na 4 ha. Jakby świadomie schwycił w ręce grabie słuchając wypowiedzi matki.

Wdowikowie nie dawali posłuchu „antygórniczej" propagandzie. Matka zna doskonale twarde i pracowite życie, jest raczej zadowolona, że syn nie będzie miał łatwych początków przy zdobywaniu zawodu. Przypomina rok 1940, kiedy to Niemcy urządzili w Szklanej Hucie poligon i wysiedlili wszystkich z ojcowizny. Jedyny kapitał jako Wdowikowie zabrali to własne dzieci, dwóch synów. Pracowali u kułaków, pieniądze znali jedynie z widzenia. Po wojnie rozpoczęli na nowo, od początku gospodarkę.

— Chłopak to jest kapitał — wtrąca się ojciec — trzeba go dobrze ulokować. Niech będzie górnikiem, mnie się to zwróci, bo chłopak nas kocha i pomoże...

*

Na starym Galewiczu nie zrobiliśmy początkowo dobrego wrażenia. Najstarszy z nas nie liczy sobie nawet 25 lat. I o to Galewiczowi bardzo chodziło.

— Młodzi jesteście, ja wiem, że Bolek powinien iść do zawodu, ale co wy wiecie o kopalniach węgla?

I potoczyła się smutna opowieść o znajomych z dawnych lat, chłopskich wyrobnikach, tułaczach, którzy wiele w życiu przeszli fabryk i zawsze najgorzej wspominali kopalnie. Stary sypał przykładami, rzucał nazwiska żyjących i pomarłych od lat chłopów.

— Widzicie, tam pod ziemią najgorsza męczarnia, złe powietrze zadusi, woda zaleje, ludzie to przecież przeżyli, wiedzą co mówią. Możeby go dać gdzie indziej?

Z matki wylała się od razu cała macierzyńska tkliwość. Czy będzie miał gdzie dach nad głową, czy będzie ciepło, co tam dają na obiad, grunt to obiad, resztę się z domu dośle.

Nieoceniona koleżanka Wiesława! Z jej, chciałbym powiedzieć — magicznej teczki wyskoczyły na stół wcale mocne argumenty. Cała seria fotografii. Domki górnicze w Wałbrzychu, pod Gliwicami i Zabrzem, ich wnętrza, umywalnie, stołówki, biblioteki...

Spokojnym, łagodnym głosem wyjaśnia matce, co to jest Karta Górnicza. Mnie oddaje w ręce zdjęcia z pracy pod ziemią i wskazuje oczyma na ojca. Za chwilę dyskutujemy wszyscy nad węglowymi kombajnami, transporterami, mechanicznymi świdrami. Kempa opowiada o swoim spotkaniu z Bugdołem.

Zjawiają się i Wdowikowie. Obaj chłopcy naradzają się na uboczu.

Zmierzcha tymczasem, trzeba wracać. Gmina złoczewska wypełniła zobowiązanie, odpowiedziała na apel Zarządu Głównego ZMP.

*

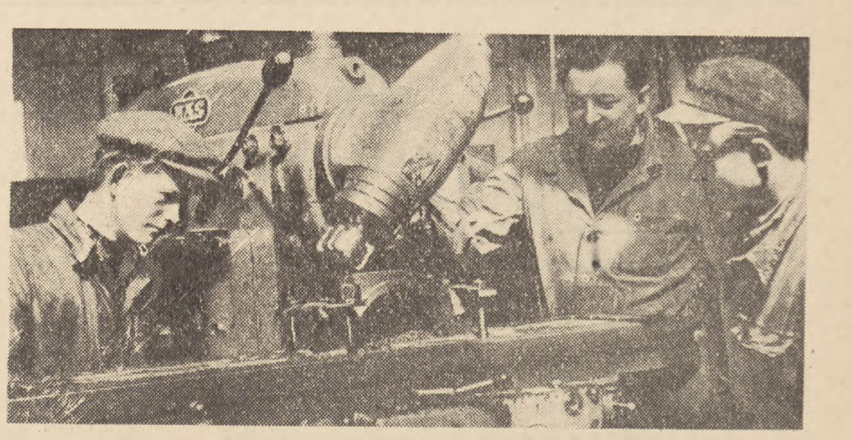
Muszę przyznać się, że nie zdawałem sobie sprawy z doniosłości wydarzeń w Szklanej Hucie. Refleksje przyszły w samochodzie. Szosa oczyszczona, chłopcy ze szkoły zawodowej, poznaję ich po czapkach, podnoszą obalone przez śnieżycę słupy. Pojawiło się słońce.

Za pięć dni dwóch młodych chłopców pojedzie do Bytomia, rozpocznie nowe życie. Cóż to oznacza? Węglowy, ciężki przemysł może liczyć na nowe, świeże kadry. Jasne, ale i jeszcze jedno. W wielu tysiącach naszych wsi istnieją wciąż jeszcze poważne rezerwy niewyzyskanej, marnującej się, a przecież bezcennej siły produkcyjnej.

Powiedziałem to półgłosem, lecz odprowadzający mnie kol. Kempa usłyszał wyraźnie.

— To prawda, my powinniśmy tę siłę aktywizować.

Stanisław Siekierski



FELIKS KNAP

List do młodzieży

ZNANE są Wam zadania Planu 6-letniego. Znane są Wam z akcji przedwyborczej perspektywy przyszłości Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, przedstawiane w programie Frontu Narodowego.

Nie wierzę dlatego, abyście mogli obojętnie patrzeć na wysiłki i osiągnięcia Waszych Kolegów już zatrudnionych w przemyśle metalowym, gdzie przez udział we współzawodnictwie i racjonalizatorstwie zdobyli dyplomy i odznaczenia, a przez udział w szkoleniu wewnątrzzakładowym zdobyli kwalifikacje, które zapewniają im dobry zarobek i warunki utrzymania rodziny.

Wasze pozostawanie na wsi tłumaczę sobie brakiem uświadomienia Waszych rodziców, a często może ujemnym oddziaływaniem niektórych elementów kułackich, a z Waszej strony lękiem przed pracą, która dotąd jest Wam nieznana.

Znając dobrze życie wsi i rozumiejąc Wasz lęk przed powzięciem decyzji pójścia nową drogą, kiedy Wam nieraz brak wyrobienia społecznego i politycznego, pragnę w krótkich słowach zachęcić Was do masowego zaciągu pionierskiego w naszych Zakładach i zapewnić, że ja osobiście jak również Rada Zakładowa i Partia ułatwią Wam pierwsze kroki w Zakładzie Przemysłowym i pokierujemy Wami dla zdobycia kwalifikacji i świadomości politycznej.

Trzeba Wam wiedzieć Droga Młodzieży, że w planowej gospodarce ludowej buduje się nowe Zakłady i rozbudowuje istniejące, specjalnie w terenach o glebie małourodzajnej, gdzie mała wydajność z hektara nie może wyżywić wszystkich członków Waszych rodzin. Tym powodowany Rząd Polski Ludowej zatwierdził rozbudowę naszych Zakładów w Kuźni Raciborskiej.

Znana Wam jest przecież niska wartość gleby po prawej stronie Odry, a specjalnie na naszym terenie gminy Kuźnia Raciborska.

Aby zapewnić Wam odpowiednie warunki bytowe budujemy Osiedle Robotnicze, przeznaczone dla przodowników pracy i robotników zamieszkujących poza Kuźnią, celem związania Was z naszym Zakładem Pracy.

Otworzyliśmy poza tym nowocześnie urządzone przedszkole, aby dać możność pracy społecznej lub zawodowej Waszym siostrom i żonom.

Słyszeliście z pewnością z prasy, że jesteśmy Zakładem w całej Polsce znanym z zatrudnienia kobiet w zawodzie ślusarskim. Nasze pracownice: Przyklęk Hildegarda i Franica Gertruda wyjechały jako instruktorki dla szkolenia kobiet w skrobaniu powierzchni ślizgowych maszyn do Zakładów im. J. Stalina w Poznaniu i innych, gdzie zyskały sobie uznanie i szacunek swoich koleżanek oraz spopularyzowały dobre imię naszego Zakładu.

Niech przykład ten będzie i dla Was dziewczęta wiejskie zachętą do pracy w przemyśle, gdzie macie zapewnioną opiekę lekarską i inne świadczenia socjalne, tak na wypadek choroby jak macierzyństwa. Dziś nie grozi Wam służba u jakiejś wybrednej pani, gdzie musiałyście ulegać wszelkim jej grymasom w ustroju kapitalistycznym. Dziś stoi za Wami prawo zawarte w Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Wszystkie nasze hale fabryczne są budowane i urządzane z uwzględnieniem najnowocześniejszych wymogów bezpieczeństwa i higieny pracy.

Dziś młodzież męska i żeńska, widząc troskę Rządu o warunki bezpieczeństwa i higieny pracy, ciągnie do zawodów odlewniczych, gdzie mechanizacja czynności i transportu oraz właściwa wentylacja stwarzają warunki przyjemnej pracy.

Mam nadzieję Droga Młodzieży, że moje wezwanie niniejszym listem nie pozostanie bez echa.

Stawajcie do pionierskiego zaciągu — do pracy na najtrudniejszych posterunkach przemysłu metalowego. Wielkie nadzieje pokłada w Was Partia i Władza Ludowa. Uczynimy dla Was wszystko, aby praca będąc prawem, była przyjemną i dała Wam możliwości nauki i zdobywania kwalifikacji zawodowych oraz opanowywania nowoczesnej techniki. Ne zawsze warunki te można dać od razu. Trzeba je w walce wykuwać, dlatego czekamy na ludzi odważnych, którzy stając na przedzie będą torować drogę innym.

Jesteście współgospodarzami Kraju, pracujcie więc po gospodarsku — uczcie się lepiej i wytrwalej w zdobywaniu zawodu.

Feliks Knap
Dyrektor Zakładów
Metalowych w Kuźni Raciborskiej

WŁADYSŁAW UDALSKI

WRÓBEL, KOSIOREK I KĘDZIORA

BĘDZIE nas dziesięciu, wszyscy akademicy i wszyscy synowie łódzkiego proletariatu, albo małorolnych chłopów z bliższych i dalszych gromad.

Pociąg dudni regularnie, mijamy wsie i miasteczka. Rozmowa toczy się głównie wokół naszego naczelnego zadania. Mówiąc krótko — mamy obsłużyć kilka zebrań gromadzkich, dopomóc w dalszym umocnieniu Frontu Narodowego mało i średniorolnych w walce o wykonanie dostaw, wykopki buraków, planowe zasiewy... Wysiądziemy w Łowiczu, a stamtąd w teren.

Niektórzy wspominają doświadczenia z okresu wyborczego. Mój sąsiad protestuje gwałtownie przeciw utożsamianiu tamtego etapu Frontu Narodowego z bieżącym.

— Powiadam ci — słyszymy replikę — zapytano mnie w Działoszynie nad Wartą, czemu to brakuje chleba. Obecnie takie braki odczuwa periodycznie i Łowicz. Zobaczymy co powiesz na miejscu, ale chyba nie to, że ten brak należy do okresu wyborczego...

Wybuchamy śmiechem, ale sprawa chleba poruszyła nas do głębi. Jakże go może brakować, co się za tym faktem, jeżeli jest prawdziwy, kryje?

*

W Łowiczu sprawa nie wyjaśniła się. Nasza koleżanka, pracująca tu od kilku tygodni wyjaśniła rzecz o tyle, że w dni targowe, kiedy to miasto wypełniają tysiące chłopów daje się odczuć brak chleba. No tak, ale tego być nie powinno.

Idziemy w listopadowy dzień rozmokłą, błotnistą drogą. Jest nas teraz sześciu. Przeprawiamy się przez dziurawy most na Bzurze. Przed nami wąziutka ścieżka, na horyzoncie majaczy słabo widoczna wieś Przed Sierzchowem dzielimy się na dwie trzyosobowe grupy. My do wspomnianej wsi, koledzy do Kęszyc. Na odchodnem ostrzega nas młody kolejarz, miejscowy działacz partyjny, przed Antonim Wróblem.

— Spryciarz, jakich mało, biedotę psuje.

Nieufnie obejrzeliśmy rozległe podwórze i solidne budynki gospodarskie Wróbla, które wychynęły przed nami już na skraju wsi. Oszczekał nas gwałtownie pies, zresztą żywej duszy nie widzieliśmy. Któż to taki ten Wróbel? Przypominam sobie gorączkowo wszystko, co mi opowiadali o nim w gminie. Ma 15 ha dobrej ziemi, dziewczynę służebną, zboże odstawił, podatek uregulował, ale mięso uważa za produkt niestrawny dla robotników, gdyż nie oddał ani jednego kilograma.

Za Wróblowym gospodarstwem ciągną się po obu stronach drogi biedne zagrody. Podwórka wąskie, stodoły oklapłe w deszczu, ale błyska właśnie elektryczność, pryzmy starannie ułożonego tłucznia każą się domyślać że niebawem droga będzie doprowadzona do porządku.

Dnie są teraz krótkie, czwarta zaledwie godzina a już mało co widać. Mamy jeszcze sporo czasu do zebrania. Ruszamy do chałup. No i tak właśnie natrafiliśmy na Kosiorka. Już w gminie opowiadano nam, że to przodujący gospodarz. 500 kg żywca ponad plan odstawił! Zdumiały nas jednak dwa charakterystyczne szczegóły. Oto sam Kosiorek nazwał się przodownikiem gromady, a jego żona oświadczyła, kiedyśmy spytali jak tam po wyborach:

— A co mi tam wybory, desek na żłób nie ma, gwoździ nie ma, węgla nie ma, a teraz to i chleba nie można kupić...

Więc jednak znowu chleb...

*

Zagmatwana historia z tym Kosiorkiem, nie mogliśmy jej na poczekaniu rozwiązać. Z jednej strony przoduje w obowiązkach wobec naszego Państwa, z drugiej jego, a przede wszystkim Kosiorkowej świadomość polityczna, przeciwstawiała się tej ofiarności. Ki diabeł?

Tak jakoś przywykliśmy do tego, że „obowiązkowy" chłop posiada duże wyrobienie polityczne; nie chciało się nam w głowie pomieścić, jak wielu „lakierującym" dziennikarzom, że może być jednak inaczej.

Pomyliliśmy się także co do samego Wróbla. Na zebraniu pojawił się nie krwiożerczy, opasły kułek, lecz skromny, w prostej roboczej marynarce człowiek, odznaczający się ponadto słodkim, prawie melancholijnym spojrzeniem. Cała jego postawa zdawała się świadczyć tylko o tym, że najpewniej czuje się w domu pod opiekuńczym skrzydłem żony. Nie rozwalił się też pośrodku sołtysowej izby jak na wroga klasowego przystało, przysiadł spokojnie na małym stołku przy drzwiach.

Nic nie zapowiadało początkowo tak burzliwego zebrania. Podczas przemówienia jednego z kolegów na temat żołnierzy i studentów kilku chłopów spokojnie zasnęło. Wróbel uśmiechał się przyjaźnie, złożył nawet ręce do klaskania, gdy padały słowa o Froncie Narodowym, zaniepokoił się dopiero, kiedy nazwano go opornym w dostawie żywca. Ale w dyskusji wstał i spokojnie oświadczył:

— Postaram się odstawić, obywatele. Deszcze przeszkadzały, nie wymłóciłem zboża, a świnki bez ospy nie urosną nawet u kułaka, bo się tylko tak zdaje, że jak u średniaka coś się nie urodzi, to u Wróbla musi być.

Ostatnie słowa wymawiał powoli, uśmiechając się dobrotliwie. Był to jakby sygnał do dyskusji. Chłopi nie interesowali się sprawami politycznymi, nie mówili bezpośrednio o Froncie Narodowym, wysuwali natomiast bolączki gromadzkie i trudności. Najwięcej jednak pyskowali Kosiorki. On wysoki, o jednym oku zamglonym bielmem, buczał jak gruby trzmiel, ona szczupła i skrzekliwa nacierała:



Foto CAF

— Tyla wszystkiego mówita, a gdzie węgiel, gdzie?

I to pytanie dominowało nad całością obrad, mimo iż mówiono o radiofonizacji, niesprawnym kolportażu gazet, drodze gromadzkiej, narzekano na brak nawozów.

Nasz kolega akademicki — uczeń szkoły podchorążych, próbował mówić o rozmachu budownictwa i rozwoju przemysłu, ale jego słowa nie chwytały. Odnosiłem wrażenie, że sprawa węgla jest tu bardziej skomplikowana.

I rzeczywiście. Wstaje nagle dryblas, murowane dwa metry wzrostu. Widzimy wyraźnie zaniepokojenie Wróbla i nienawistne spojrzenia Kosiorków, którzy jeszcze przed chwilą rozdzierali szaty nad niewdzięcznością Polski Ludowej, która ich, patriotycznych chłopów tak po macoszemu traktuje.

— A gdzie macie 20 metrów węgla za świnie ponadplanowe? Pytanie padło nieoczekiwanie, wszyscy się zdumieli jego prostotą i oczywistością. Przecież istotnie Kosiorki musieli dostać węgiel i cała gromada wiedziała, że tak było. Lecz traktowano to jako prywatną sprawę „patriotów". Niespodziewane pytanie stawiało całą tę historię w nowym świetle.

Kosiorek zgłupiał, nie rzekł tedy nic, ale ona wybuchnęła gwałtownie:

— To za tę ofiarność we Froncie Narodowym, moja rzecz. Koń jak jest mały, to go pogłaszczą, podrośnie — oprzągają, a kiedy ciągnąć zaczyna — to go batem po łydkach. Tak z nami chcą zrobić, bo ciągniemy gromadę w górę.

Wybieg zręczny, chłopak się jednak nie stropił. I nikt nie przypuszczał, że ten strażak z fabryki w Pruszkowie także hołduje porównaniom z zakresu inwentarza żywego.

— Koń póki mały to i brykać i popieścić się lubi, a duży kopnąć patrzy! Wyście Wróblowe świnie pod swoim nazwiskiem sprzedali, pieniądze po części sobie, węgiel kułakowi, a władzę ludową kopiecie.

Powiało sensacyjną ciszą. Tylko w sieni rozległo się gwizdnięcie — to Wróbel wyleciał, pozostał po nim próżny stołek.

— Sprzedawaliście Wróblowe świnie, to znaczy się — razem okradaliście Państwo. Kułak świnie chlebem pasł, tym co go w Łowiczu kupić nie możecie! Biedniaki a kułackie pomagaje!

Strażak Kędzior spokojnie, metodycznie wyjaśniał całą sprawę zaskoczonym nieco chłopom. Rachunek wypadł prosto. Wróbel ani kila nie odstawił, poleciał za to na sprzedaż pod nazwiskiem Kosiorka, dostał lepszą cenę, otręby i węgiel. Ludzie chleba nie mogą w niektóre dni kupić, a tacy nocami go po wsiach rozwożą dla świń i rozpowiadają, że po wyborach chleba nie będzie.

— A to cholera — wyrwało się komuś...

*

No i — jak sami widzicie — wszystko się wyjaśniło. Traf jeszcze chciał, chyba dla zaokrąglenia naszej opowieści — sołtys zaprowadził nas na nocleg do rodziny strażaka Kędziorów. Starzy przyjęli, czym chata bogata, a z Bolkiem przegadaliśmy prawie całą noc.

Doprawdy nie wiem w jaki sposób to opisać, gdyż jakby nie próbować zawsze wychodzi na piękną, wzruszającą, miłosną historię. Wiemy już — pracuje w Pruszkowie, dokąd jeździ pociągiem. Lubiano go we wsi ale odkąd począł „chodzić" ze Stefką, zacofana część wsi przezwała go „bolszewikiem".

— A ja rzeczywiście wczoraj wstąpiłem do Partii, dosłownie wczoraj Koledzy — mówi to miękko i ciepło. Ściskamy mu kolejno dłoń

O Kosiorkowych i Wróblowych sprawach powiedziała mu właśnie Stefka, dziewczyna służebna kułaka. Chce się z nią żenić. Starzy jeszcze nie przekonani, ale to się zrobi. Dziewczyna dobra, sierota, bez nikogo na świecie. Wróbel kuzynką ją tytułuje, ale to nieprawda. Czyni tak dlatego, żeby go nie posądzano o to, że trzyma służbę.

— To drań, co krew wypije, a dziury przy tym nie zrobi.

I to już chyba wszystko. Może jeszcze jedno, wspomniany przeze mnie na początku młody aktywista kolejarz, doniósł nam niedawno, że w Łowiczu nie ma kłopotów z chlebem Przepatrzono kułackie metody tuczenia świń

Władysław Udalski

KARLO KALADZE

Przełożył Tadeusz Chróścielewski

NOC NAD KOLCHIDĄ

Kto tu w dziwne jakieś lato
Pierworodny ogień skrzesał,
Przebijając skrą skrzydlatą
Noc drzemiącą na bezkresach?
Kto na czółnie tu zapłynął
W tę mgłę zbitą i zgęstniałą
I wbił strzałę w przestrzeń siną
I poraził ptactwo strzałą?

Imię swoje rozesławił,
Pamięć o nim czas zapłodni.
Z gwiazd wysnuto: Tu zostawił
Ślad swój wielki Łowca Ogni.
I u góry nad konarem,
W jasnym niebie lśni widomie
Pałający strasznym żarem
Wykradziony przezeń płomień.

Mknie z prądem w zmierzch ponury
W czółnie, w dal, po wodnym szlaku —
Trzech rolników, trzy kontury —
Trzech przedziwnych zawadiaków.
Cel nas łączy, wiatr i chmury,
Ściana dębów, smugi krzaków.
Mkną wzdłuż Rionu trzy kontury —
Trzech przedziwnych zawadiaków.

Czy dąbrowa tak oddycha,
Czy mgła, którą zmierzch nasunął?
Czy to wiatr kołysze z cicha
Legendarne złote runo?

Sennie, smutno, tajemniczo,
Drży wyblakły cień zieleni,
Rzekłbyś jakąś mgłą zwodniczą
Osnuł brzeg korowód cieni.

W kraj, co wielkich zmian doczekał,
W kraj wydarty dziś spod błota,
Wiedzie nas żeglowna rzeka,
Lśni w jej nurtach łuna złota.
Tej antycznej łuny śladem
Kołchozowym wioskom sławnym
Przywozimy dziś rozsadę
Na czółenku starodawnym.

Drzemią stare opowieści
W haszczach, które drgną o świcie.
Gdy wiatr ciepły zaszeleści,
Krzyk bażanta posłyszycie
Już w dąbrowie śpi zielonej
Jak w kołysce luna cicha.
W takiej ściółce utulonej
Jakże lekko jest oddychać.

Pług nasz podbił dziś Kolchidę.
A nie łoskot mieczów licznych
Starł ból wieków i ohydę
Z moich krain archaicznych.
W jasną przyszłość zapatrzony
— Los mu dał spiżowe życie —
Wódz, co wyrósł tu nad Rionem
Poprowadził nas do zwycięstw.







KAZIMIERZ LISOWSKI

PÓŁNOC

Rozkochałem się w nazwach tamtych rzek:
Judykon, Uczami, Koczumdek,

Kananda, Wiwi i Wojewoli,
A nad nimi wzgórza, tajga w śniegach.
Ileż siły i niezłomnej woli
W ich kamiennych i pochmurnych brzegach.

Serce moje na zawsze podbiły
Błyski ognisk wzdłuż stanic dalekich
I tamtejsi ludzie słynni z siły —
Jak rodzeni bracia wartkiej rzeki.

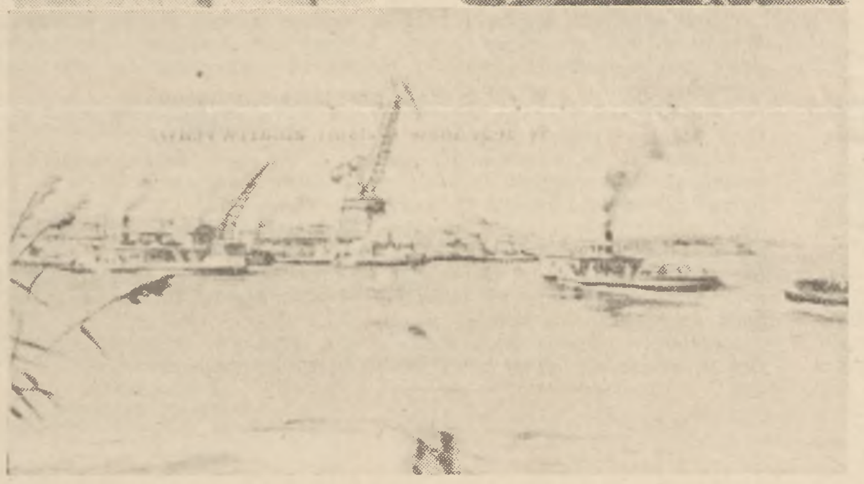
GEWORK EMIN

ARCHITEKCI

Ty kochasz twory odległych stuleci,
Ja również żywię dla przeszłości cześć.
Niegdyś natchnienie brali z niej poeci,
Ja innym bóstwom poświęciłem pieśń.

O starych mistrzach nie powiem nic złego,
Lecz naszej sztuki natchnienie i blask
Stąd, że na cichych ruinach dawnego
Wspaniałe dzieła kształtuje nasz czas.

Gdyby tak przodków ongiś ogarnęła
Wyłączna miłość do minionych lat,
Ktoby z nich stworzył owe arcydzieła,
Na które wzrok twój rozkochany padł?



TADEUSZ ORLEWICZ

NARODY

Od Władywostoku do Moskwy pociąg musi przebyć taką odległość, jaka dzieli równik od bieguna Kiedy na zachodniej granicy ZSRR bije południe, na cyplu Dzierżniew w cieśninie Beringa jest już późny wieczór zegar wydzwania godzinę dziesiątą Na południowych granicach Kraju Rad rośnie palma daktylowa która „lubi aby jej głowa była w płomieniach“, jak powiadają ludy arabskie. A na północy ciągnie się kraj wiecznych lodów i głębokiej zmarzliny.

Przeszło 60 narodów, grup narodowych i narodowości zamieszkuje większą część Kraju Rad. Narody wielkie i małe liczebnie. Narody i plemiona, Rosjanie i Baszkirzy Ukraińcy i Tatarzy, Litwini i Jakuci, Gruzini i Nanajcy.

W kraju mym wszystkie dziś narody społem
Wielbią ojczyznę pracą swą i czynem —
I lasy rosną tu, gdzie piaski gołe,
Stepem bezwodnym wartkie rzeki płyną.
Z czynu zrodzone w oczach naszych wstają
Nowe budowle — jutra cud wspaniały.
Słyszysz? — nad światem poniosła się falą
Dniepru i Wołgi Kara-Kumów chwała.

*

Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa rozbiła kraty więzień, za którymi jęczały narody i ludy carskiej Rosji. Przyniosła im — słońce socjalizmu, w którym stopniały mroki stuleci, a Uzbek i Jakut, Kazach i Nanajec z człowieka nieomal epoki kamienia krzesanego wyrósł w przodującego, kulturalnego, świadomego bojownika, współtwórcę wielkości i szczęścia ojczyzny radzieckiej.

„*Ludzie radzieccy* — mówił Stalin, w roku 1948 — *uważają, że każdy naród — wszystko jedno: wielki czy mały — posiada swoje jakościowe właściwości szczególne, swoją specyfikę, która należy tylko do niego i której nie mają inne narody. Właściwości te stanowią właśnie wkład, który każdy naród wnosi do wspólnej skarbnicy kultury światowej i uzupełnia ją. W tym sensie wszystkie narody i wielkie i małe — znajdują się w jednakowej sytuacji i każdy naród jest równoznaczny wszelkiemu innemu narodowi*“.

Słowa te najdobitniej potwierdza 35 lat wspólnej pracy i walki przeszło 60 narodów, grup narodowych i narodowości w ramach jednego socjalistycznego państwa związkowego.

„Po zlikwidowaniu burżuazji z jej partiami nacjonalistycznymi — mówił Beria na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego — i po utrwaleniu się ustroju radzieckiego w naszym kraju powstały, rozwinęły się i ukształtowały na bazie dawnych narodów burżuazyjnych nowe narody socjalistyczne“. „...Obecnie już nie ma u nas narodów zacofanych. W latach budownictwa socjalistycznego nowe, socjalistyczne narody w naszym kraju zmieniły gruntownie swe oblicze i stały się przodującymi, nowoczesnymi narodami“.

*

W tym samym okresie, gdy robotnicy Rosji i Ukrainy mieli w fabrykach do czynienia z nowoczesnymi maszynami, na dalekiej Północy — łuk i strzała, krzesiwo i kamienie były w powszechnym użyciu.

Gdy w rolnictwie rosyjskim i ukraińskim używano pługów żelaznych, a w majątkach obszarniczych pojawiały się wielkie maszyny rolnicze, w dalekim Uzbekistanie królowała drewniana socha, a nad Amurem czy na głębokim wschodzie Syberii kij grzebalny, sękaty kawałek drewna był jedynym środkiem uprawy ziemi

Obok wspaniałej kultury narodu Puszkina i Gogola, Tołstoja i Czechowa żyły ludy, które nie miały własnego piśmiennictwa. Obok kapitalizmu — wszystkie nieomal formy ustrojów społecznych ze wspólnotą pierwotną i azjatyckim feudalizmem.

W zacofaniu, nędzy, ciemnocie rządy caratu widziały skuteczny instrument ujarzmiania narodów, pogłębiania wyzysku.

„Naród mój — mówi twórca buriacko-mongolskiej literatury narodowej, Choca Namsarajew — był skazany na wymarcie. Głód i straszliwe choroby dziesiątkowały ludzi. Tylko bogaczom świeciło słońce. Do nich należały stada i pastwiska, oni byli panami naszych mięśni i naszego życia“.

„Jeszcze niedawno podczas panowania bojarów rumuńskich i ich mocodawców - imperialistów amerykańskich i anglo-francuskich — mówił Breżniew na XIX Zjeździe KPZR — Besarabia była spustoszonym krajem, w którym panował reżim kolonialny i stosunki feudalne... Znany pisarz francuski i rewolucjonista, Henri Barbusse, który zwiedził w owych latach Besarabię, pisał w swej książce „Oprawcy“, że okupacja otworzyła dla Besarabii erę cierpień i nędzy. To wszystko co widział w Besarabii, nazwał tragedią besarabską“.

Trzeba było odrobić zacofanie wielu wieków Trzeba było z epoki kamienia gładzonego dźwignąć wiele plemion do epoki socjalizmu. Trzeba było cały kraj przekształcić, przebudować, zbudować jasny, dostatni nowoczesny dom dla wszystkich narodów, ludów i plemion Kraju Rad i dla tych, które zniszczył kapitalizm i dla tych, które drętwotą wieków tkwiły w nocy zacofania z dala od wielkich szlaków historii

I oto „Partia Komunistyczna i Rząd Związku Radzieckiego realizując konsekwentnie leninowsko-stalinowską politykę narodowościową, zapewniły — obok wysokiego rozwoju całej gospodarki narodowej ZSRR — szybszy rozwój zacofanych ekonomicznie republik narodowych. W rezultacie zlikwidowano otrzymaną w spuściźnie po caracie nierówność gospodarczą i kulturalną między narodami ZSRR, co niewątpliwie jest jednym z najpoważniejszych osiągnięć narodowościowej polityki władzy radzieckiej“. (Beria).

Bo jak mówi pieśń radziecka i jak mówią miliony ludzi na całym świecie:

„Jedna taka partia jest na świecie,
Co przyśpiesza naszych dziejów bieg.
Ludzie każde jej dziesięciolecie,
Uważają za pamiętny wiek.“

*

W ciągu 35 lat Kraj Rad zwiększył swoją produkcję przemysłową 39-krotnie. Aby tak podnieść swoją produkcję, Anglia potrzebowała 162 lat i to w okresie najkorzystniejszym dla jej rozwoju. Francja w ciągu 90 lat ostatnich zdołała zwiększyć swoją produkcję 5,5 razy. A Stany Zjednoczone w ciągu ostatnich 35 lat zaledwie 2,6 razy.

Co to znaczy? To znaczy, że ZSRR nie tylko dogonił ale i przegonił na wielu odcinkach imperialistyczne kraje świata. To znaczy, że w ciągu 35 lat zostały odrobione i nadrobione zaległości historii. To oznacza bezwzględną wyższość ustroju socjalistycznego nad ustrojem kapitalistycznym w ogóle, a w jego monopolistycznym stadium w szczególności.

Oznacza to nieprzerwane, najwyższe ze znanych dotąd tempo rozwoju.

„My dziś oblicze zmieniamy ziemi,
My martwych pustyń, śniegów panowanie,
Tu, na północy przyodziać chcemy
Dziewczęta w barwne jedwabie nowe“ —

pisze Mikoja Kocakow, poeta narodu maryjskiego, który przed rewolucją nie posiadał ani jednej szkoły ogólnokształcącej, ani jednego podręcznika w języku ojczystym.

„Wieki toczyła się całe
Daremnie woda ze skał
I nic nikomu nie dały
Moce potężnych jej fal.
Ale przyrody żywiołom
I nurtom burzliwych wód,
Partii wolą ujarzmionym,
Służyć sobie kazał lud“ —

śpiewa Gamzat Cadasa, poeta Dagestanu.

*

Podczas gdy w krajach, opanowanych przez imperializm szowinizm nacjonalistyczny — ów brat zdrady narodowej, zbiera z dyskryminacji rasowej ponure żniwo, w Kraju Rad wzajemny szacunek i współpraca narodów otwiera przed ludźmi radzieckimi epokę komunizmu.

Oto dwie linie rozwoju, które cechują obecny ogólny obraz światowej sytuacji. Jedna — nieustannego rozwoju Druga — upadku. Jedna — wojny i grabieży. Druga — pokoju i socjalizmu.

W imperializmie „Stany Zjednoczone — jak mówił Malenkow — są na tyle — mówiąc łagodnie — pozbawione skromności, że podają się za szczerego przyjaciela tych krajów (Anglii, Francji i innych krajów kapitalistycznych). Dobry przyjaciel! Dosiadł swych młodszych partnerów, ograbia ich i ujarzmia, smaga, gdzie popadnie i na dobitkę dogaduje: „bądźmy przyjaciółmi“, co w języku amerykańskich potentatów finansowych oznacza — „najpierw ty mnie powieziesz, a później ja na tobie pojadę“.

W imperializmie Wall Street i jej lokaje strzegą „wolności“, ale „nie wolności dla ludu, lecz wolności wyzysku i ograbiania ludu Jeżeli natomiast chodzi o ZSRR i kraje demokracji ludowej, to rzeczywiście nie ma tam takiej „wolności“, ponieważ od dawna już zlikwidowano w tych krajach wolność wyzysku i ograbiania mas pracujących“.

*

Kiedy w całym Związku Radzieckim w okresie od 1928 roku do 1951 roku produkcja przemysłowa wzrosła 16-krotnie, to w poszcze-

DŻANSI KIMONKO

NAD BRZEGAMI SUKPAI*)

OJCZYZNO moich ojców i dziadów, rzeko Sukpai! Praojcowie moi ciebie znaleźli. Praojcowie moi przyszli do ciebie z nad rzeki Samargi po śladach wydry. Doszli aż do samych twych źródeł, a przedtem jeszcze ujrzeli góry wysokie i wspięli się na przełącz. Przełęcz biegła poniżej góry Ulja — najwyższego ze wszystkich sukpajskich szczytów. Błyszczy cała skalistością golców, a na samym wierzchołku, gdzie niegdyś było jezioro, bieleje teraz płachta śniegu. W pogodny dzień ze szczytu góry Ulja widać gwiazdy.

Kto może wiedzieć, kiedy to było? Dawne podania są skąpe jak światło gwiazdy zarannej.

Przodkowie moi strzegli ich długo w swych wspomnieniach pokąd przez stulecia posuwali się brzegami morza. Było ich wielu i wszyscy nazywali siebie plemieniem Kia. Niegdyś wódz ich Kia słynął mądrością i siłą. Ale razu pewnego wszczął walkę z innym wodzem, Kukczynką, o jego córkę, piękną Ałagdy. Wojna ta była straszna. Kukczynka zwyciężył. Kia poległ a jego plemię rozpierzchło się po górach i lasach.

Któż wie ile razy rzeki zmieniały łożyska, ile razy tajga zrzucała swój ubiór od czasów, kiedy przodkowie moi dotarli do brzegów morza? Uchodzili przed wrogiem i już nie chcieli nazywać siebie plemieniem Kia. Wielu z nich wyginęło po drodze, wiele strzał poszczerbili o głazy. Krzesali ogień i nieśli go ze sobą chroniąc przed wodą i wiatrem. Wielkie i małe wody przecinały ich szlak. Rzeki płynęły do morza, a morze było głębokie i niepojęte.

Powiadają, że śladem wydry doszli praojcowie moi do samej rzeki. Rzeka była świetlista i prosta jak promień słoneczny. Nazwali ją Sukpai. A Sukpai znaczy — promień słońca.

Po przyjściu nad Sukpai ludzie przekonali się, że płynie ona do innej wielkiej rzeki. Nad jej brzegami były liczne ślady zwierza, a w rzece było mnóstwo ryb. O, nie na darmo praojcowie moi wspinali się na przełęcz. Wielką rzekę nazwali rzeką Chor i pływali po niej w swych wydrążonych czółenkach. Ileż nad nią rosło topoli na czółna! Myśliwcy wędrowali w dół rzeki i wędrowali w górę rzeki. Ale mój pradziad osiedlił się nad Sukpai.

Oto rzeka połyskuje przede mną. Wspiąłem się na górę i długo spoglądam na roztwierającą się przede mną doliną. Garbate wzgórza tłoczą się w dole otulone białymi mgłami. Na setki kilometrów dokoła widnieją tylko lasy i góry. Ptaki słuchają jak szemrze woda, rzeki słuchają jak okrzykują się ptaki. Tu wyrósł i zestarzał się mój dziad, tu niepokoił czujnego zwierza dym z koczowiska mego ojca, tu biegło po bezdrożach leśnych i po szumiących potokach płynęło moje dzieciństwo, tu ono śmiało się i płakało.

*

Ojczyzno mych ojców i dziadów, rzeko Sukpai! Dolino pienistego Choru, przez dziadów odkryta, przez zwierza schodzona, przez szczebiot ptasi ugłaskana, lasem porosła, wzgórzami ozdobiona, ziemio moja rodzinna, sercu memu bliska! Ileż to tropów zwierzęcych, ile śladów niedźwiedzich kryją w sobie zagłuchłe rozpadliny leśne! Ileż ryb pluska się w jasnych wodach twych rzek!

Ale stało się, że w rodzinnych stronach na życie leśnych ludzi padł straszny cień. Drożyny myśliwskie zrumieniły się kroplami krwi czerwonej niczym jagody brusznicy. Obcy ludzie przyszli do nas zza morza do tajgi. Kryjąc się w zaroślach polowali na myśliwych. Z karabinem w ręku stawali u wejścia do jurt. W głębiach leśnych stało się mroczno i zimno, jak w szczelinach skalnych, gdzie nie rosną kwiaty.

Tak upływały lata. Tak przeszło moje dzieciństwo rozjaśnione światłem ognisk, nasycone goryczą dymu i łez. Tak przeszła moja młodość opalona pierwszym pożarem wojny, jasną łuną stojącą nad lasami. Nad rzeką Chor bielały mgły. We mgle krążyły orły. Słońce wznosiło się powoli nad ciemną grzywą lasów. Jakże się to stało, że w rodzinnych stronach na życie leśnych ludzi padł straszny cień?

Rządził w lasach złoczyńca Magadi-Maffa. Ale jego nie stało. Zamiast Magadi zjawili się obcy kupcy. Powiadają, że kiedy zabić węża należy spodziewać się, że nadejdą inne. Po tajżańskich ścieżynach krążyła śmierć. Ludzie ginęli z chorób. Ludzie bali się ludzi. Skóry sobole umykały z rąk, jak woda lana przez niewód. W takt bębnów szamańskich pląsało nieszczęście. Starzy ludzie mówili:

— Jesteśmy teraz jak małe ryby. Kiedy wielka ryba chce połknąć małą rybę, zdziera z niej łuskę.

Nie wiedzieli jeszcze że nad tajgą wschodzi nowe słońce.

Dom został zbudowany, ale śmieci jeszcze nie uprzątnięto. Chcę teraz opowiedzieć, jak wymieciono śmiecie z tajgi, jak przepędzono kupców i szamanów. Walka była zacięta. Ale słońce nowego życia oświetliło lasy i góry.

Opowiem jak nad jurtą wzniósł się czerwony sztandar. Wiatr go rozwinął, sztandar płonął w promieniach wschodu. Dwa imiona na nim widniały: Lenin i Stalin.

*

Do Chabarowska przyjechaliśmy wieczorem. Na dworcu było tłumno. Ludzie tłoczyli się do wyjścia. Tak tłoczą się kry na zakręcie. Na słupach płonęły okrągłe lampy i jasno było od nich jak w dzień. Szedłem o kulach. Nieznajomi ludzie ustępowali mi z drogi. Moje serce zamierało ze szczęścia.

W szpitalu powitały nas dziewczęta w białych kitlach. Stary lekarz ze szpakowatą bródką obejrzał moją nogę. Potem zaprowadzono mnie do łazienki. Przebrany w czystą bieliznę, leżałem na miękkim łóżku i z trudem dobierając słów odpowiadałem na pytania lekarza. Lekarz zapisywał całe moje życie — tak mi się przynajmniej zdawało...

W szpitalu przebyłem dwa miesiące. Za oknem drzewa straciły już liście. O szyby dzwonił deszcz. Jesień zbudziła w mym sercu smutek. Chciałem wracać do domu, do rodziny i przyjaciół. Od czasu, kiedy doktor obłożył moją nogę białą ziemią, zabroniono mi wstawać. Biała ziemia skamieniała i zrobiła się twarda. Bałem się, że pod tą kamienną skorupą noga moja zginie. Ale kiedy zaprowadzono mnie do sali operacyjnej i zdjęto gips, zrozumiałem, jak próżne były moje obawy. Do sali wróciłem już bez kul, podpierając się tylko laską.

Wypisano mnie ze szpitala wcześniej niż myślałem. Spojrzałem w lustro. Zamiast czarnych warkoczy przewiązanych tasiemką, sterczały mi na głowie krótkie włosy. Lekarz pożegnał mnie mocnym uściskiem dłoni. Czułem się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi i cieszyłem się tak, jakby mi u ramion urosły skrzydła. Ulica chlusnęła na mnie zgiełkliwym strumieniem nieznanych mi ludzi, warkotem samochodów, gwiazdkami, stukotem kół.

Następnego dnia Natalia Aleksiejewna odwiozła mnie do technikum. Wiatr pędził ulicą pożółkłe liście. Było chłodno. Zatrzymaliśmy się przed pomnikiem na placu Wolności. Kamienne stopnie wiodły wysoko do postaci z brązu. Na samym szczycie stał człowiek z prawą ręką wyciągniętą przed siebie. Takim widziałem go w książkach.

— To pomnik Lenina — powiedziała Natalia Aleksiejewna.

Ukląkłem i skłoniłem się do ziemi przed wielkim człowiekiem.

Dżansi Kimonko

*) *Fragmenty powieści.*

RADZIECKIE

gólnych republikach narodowych rozwój ten odbywał się jeszcze szybciej. „W rezultacie zlikwidowano otrzymaną w spuściźnie po caracie nierówność gospodarczą i kulturalną między narodami ZSRR“.

I dziś w „pięciu republikach radzieckich — Uzbeckiej, Kazachskiej, Kirgiskiej, Turkmeńskiej i Tadżyckiej, liczących razem około 17 milionów ludności, produkuje się trzy razy więcej energii elektrycznej niż w Turcji, Iranie, Pakistanie, Egipcie, Iraku, Syrii i Afganistanie, liczących łącznie 156 milionów mieszkańców“.

W Uzbekistanie jeden traktor przypada na 70 hektarów, a w Iranie — na 18.000 ha zasiewów. We wschodnich republikach radzieckich zbiory bawełny przeciętnie wynoszą 21 kwintali z hektara, a w Indiach — 3,4 kwintale.

W Azerbejdżanie na dziesięć tysięcy mieszkańców 93 osoby studiują na wyższych uczelniach, a w Egipcie i Turcji 12. Sieć służby zdrowia w radzieckim Azerbejdżanie jest przeszło 23 razy gęstsza niż w Iranie. W ciągu 35 lat istnienia władzy radzieckiej 48 narodowości stworzyło własne piśmiennictwo i wydaje we własnym ojczystym języku podręczniki, książki i gazety. Ludy i plemiona dalekiej Północy, stojące znacznie niżej od ludów południowej i środkowej Azji mają nie tylko swoje piśmiennictwo, ale wybitnych poetów, artystów i uczonych.

„Rosły miasta i przemysłowe osiedla — pisze Safonow — na dalekim Tajmyrze, w kraju Jakutów, pod biegunem, w dolinie znanej zaledwie dotąd z nazwy Kołymny. A dzieci z Igarki pisały listy do Moskwy, do Gorkiego... Każde z tych miast ma więcej mieszkańców niż stary Nowgorod w okresie swej sławy“. We wschodnim Kazachstanie rośnie jeden z gigantów nowej pięciolatki — Ust-Kamienogorska Elektrownia Wodna, która przez ujarzmienie wielkiego Irtyszu dostarczy energii elektrycznej wielu zakładom przemysłowym, kopalniom, kołchozom, pozwoli na nawodnienie milionów hektarów ziemi. Tu powstał Leninogorsk i rozwinęło się hutnictwo metali nieżelaznych. A przecież tak niedawno Kazachstan był krajem koczowników, gdzie przed Rewolucją miast i hut nie znano, gdzie analfabetyzm obejmował 93 proc. ludności. Dziś niepiśmienny Kazach należy do zapomnianej już przeszłości.

W Buriat-Mongolii zbudowano w okresie stalinowskich pięciolatek ponad 300 wielkich zakładów przemysłowych. Zmieniło się życie w Buriat-Mongolii. Do bezpowrotnej przeszłości należą podszyte wiatrem wojłokowe jurty, bezprzykładna ciemnota, ucisk i skrajna nędza. Starzy i młodzi Buriaci uczą się i pogłębiają swą wiedzę w ojczystym języku. Budują narodową w formie — socjalistyczną w treści kulturę, do której otworzyło im drogę zwycięstwo Wielkiego Października.

Gdzie dawniej, w martwej pustyni, u brzegów jeziora Wudjawr, spotykało się jedynie nietrwałe ślady reniferowych zaprzęgów Saamów, mieszkańców półwyspu Kola, powstało miasto Chibinogorsk, późniejszy Kirowsk, gdzie dawniej, wśród soczystej zieleni i ostrego słońca południa, pracowały jedynie warsztaty rękodzielnicze, powstały wielkie kombinaty przemysłu tkackiego i owocowego, wielkie szyby naftowe i nowe kopalnie.

Praca nad przemianą Ziemi, odbywająca się w Kraju Rad i jego poszczególnych republikach, osiągnęła tektoniczną, kosmiczną — używając wyrażenia Timiriazewa — skalę. Safonow pisze w „Kwitnącej ziemi“:

„Szmaragdowe plamy upraw polarnych rozrzucono po przestrzeniach Artyki, tam gdzie był grób przyrody, a na najdalszym południu kraju była inna martwa przestrzeń — żółta plama pustyni Kara-Kum i Kyzył-Kum. Turkiestan nazywano „republiką pustyni“. A teraz zbudowany już został wielki kanał Fergański. W pobliżu starożytnej Samarkandy powstaje morze Uzbeckie. Wielki kanał Kara-Kumski rzuci w największą na świecie pustynię wody Amu-Darii.

Wzdłuż kanałów istniejących już w Turkiestanie zasadzone zostaną na przestrzeni 3.000 kilometrów pasma lasów. Kłoszą się pola na Pamirze — „dachu świata“ i jak w Chibinach dziwnie i swoiście zmieniła się natura roślin: źdźbła owsa i jęczmienia stały się słodkie jak cukier.

Gdy na południo - wschodzie budzą się do życia setki tysięcy hektarów martwej ziemi, ziemi umarłej z pragnienia, na zachodzie tworzy się nowy spichlerz ziemi zalanej wodą, na Polesiu...“

I tworzy to wszystko człowiek — człowiek radziecki w walce o pokój i szczęście. I Wielkorus i Gruzin, Jakut i Białorusin, Ukrainiec i Turkmeńczyk, biały i żółty, ludzie wszystkich kolorów skóry i narodowości, które w ciągu jednej trzeciej wieku dogoniły i przegoniły przodujące nawet kraje kapitalistycznego świata.

„Oskarżają nas — mówił Stalin — że prowadzimy propagandę na Wschodzie... Nie musimy prowadzić propagandy na Wschodzie. Wystarczy by jakikolwiek obywatel kraju zależnego od kolonii przyjechał do Kraju Rad i popatrzył jak u nas ludzie rządzą krajem wystarczy, by popatrzył, jak czarni i biali, Rosjanie i nie-Rosjanie, ludzie wszystkich kolorów skóry i wszystkich narodowości pracują w jednym zespole i wspólnie kierują wielkim krajem, aby przekonał się, że jest to jedyny kraj, w którym braterstwo narodów nie jest frazesem, lecz rzeczywistością. Żadnej propagandy prasowej czy ustnej uprawiać nie musimy skoro mamy fakt takiej propagandy za pomocą praktyki, jakim jest Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich“.

*

Fakty — to rzecz uparta. A przecież granice Kraju Rad stykają się w Azji z wieloma krajami, w których panoszy się nadal bezkarnie wyzysk i grabież. O miedzę graniczną widzą ludy Azji, jak pracować i walczyć należy dla zwycięstwa wolności.

O miedzę nieomal leżą Indie. Kraj 380 milionów, kraj niezmierzonych bogactw i potwornej nędzy, rozszarpywany pospołu przez rodzimą burżuazję i anglo-amerykańską spółkę konkurujących „przyjaciół“. O miedzę leży Afganistan, którego ludność nie zna kolei żelaznej, gdzie 80 proc. ziemi uprawnej należy do chanów, obszarników i duchownych, a bezrolni chłopi za dzierżawę oddają cztery piąte zbiorów. Iran — potężny zapasami ropy naftowej, a jednak kraj nędzy, gdzie gwałtownie rośnie bezrobocie, gdzie ceny piętnastokrotnie przekroczyły poziom przedwojenny.

Turcja — „Panoszenie się kolonizatorów amerykańskich, militaryzacja kraju jeszcze bardziej pogłębiły kryzys ekonomiczny, skazały szerokie masy ludowe na nędzę i bezrobocie, doprowadziły do wzrostu podatków i drożyzny. Turcja stała się dzisiaj więzieniem i piekłem dla mas ludowych“.

Szybki rozwój gospodarczy i kulturalny poszczególnych republik radzieckich swymi osiągnięciami — w ten właśnie sposób — wspiera i wzmaga walkę ludów Azji o wolność, pokój i chleb. Dziś w epoce Stalina wszystkie drogi prowadzą do komunizmu, wszystkie niosą zagładę staremu światu. Płonie Daleki Wschód. Płomień walk narodowo - wyzwoleńczych ogarnia już Indie i Iran. Porywa ludy Afryki Północnej. Rośnie w czarnej Afryce, Kenii, na Wybrzeżu Kości Słoniowej, w Ugandzie. Wszędzie powstaje lud przeciwko imperializmowi i wojnie. I jak pisze Surkow:

„Już widzę wolne narody
niosą śmierć tym katom
Niechybnie zginą oni
Zbrodniarzy ani dolar, ani
zbudzony atom
Od sądu nie uchroni“.

*

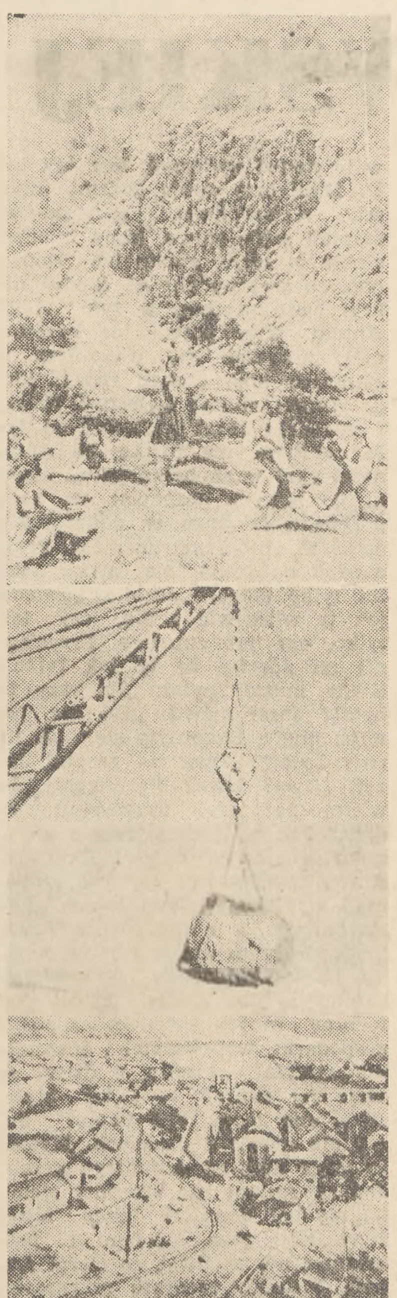
Osiągnięcia poszczególnych republik radzieckich stawiają je znacznie wyżej nie tylko w stosunku do innych krajów Azji. Na każde 1000 hektarów zasiewów przypada w Uzbekistanie — 14 traktorów, a we Francji 7. Zbiory bawełny na wielkich przestrzeniach republik radzieckich dają przeciętnie z hektara 2,5 raza więcej niż w USA. Ten sam Uzbekistan ma proporcjonalnie więcej lekarzy niż Francja lub Holandia. Podobnie Gruzja. Podobnie Ormiańska SSR. W „zacofanym“ Azerbejdżanie na 10.000 mieszkańców przypada 3 razy więcej studiujących na wyższych uczelniach niż we Włoszech a przeszło 4 razy więcej niż w Szwecji.

W Mołdawii w ciągu 8 lat produkcja konserw wzrosła 21 razy. Orka i siew są zmechanizowane w 80—90 proc. a we Włoszech przypada na 1000 ha trzy razy mniej traktorów, niż na besarabskiej wsi do niedawna zacofanej i rządzonej przez bojarów.

Oto Ukraina, mimo zniszczeń wojennych wytapia już obecnie o wiele więcej surówki niż Francja i Włochy łącznie, wyrobów walcowanych więcej niż Francja, a przeszło trzykrotnie więcej niż Włochy. Na początku 1952 Litewska SSR przekroczyła przedwojenny poziom produkcji o 340 proc., Łotewska — o 460 proc. i Estońska — o 510 proc. A podobne co do obszaru Holandia i Belgia drepczą ze swoją produkcją w miejscu.

Mówił Stalin: „...*obecnie sprawa zmierza ku temu, że socjalizm służyć może (i już służyć zaczyna) dla wielomilionowych mas najrozleglejszych państw imperializmu, jako sztandar wyzwolenia*“. I tak się dzieje dzięki nieustannej, bohaterskiej pracy i walce narodów zjednoczonych jednością moralnopolityczną, narodów Wielkiego Października.

Tadeusz Orlewicz



MAKSYM SZEICHZADE

J E D E N A S T U

Ich jednastu — ale chwaty.
Dość, by dokazać w bitwie cudu
I wstać nad lata i nad daty
W jasnej legendzie mego ludu.
Każdy z nich śmiały, pełen siły,
Jak młody sokół bystropióry.
Wiatry skroń w marszu im chłodziły,
Rankiem budziły ich lazury.
Szli wysławiając kraj rodzony
Przez stepy w nadwołżańskie strony.
A każdy chwały był spragniony.

II.

Stalingrad — toż to miasto sławy.
Żyć mężnie — jego przykazanie.
Zna jego dzieje żołnierz prawy
I dziś z uporem walczy za nie...
Wróg widząc męstwo ich — oniemiał
Żołnierz zazdrościł żołnierzowi,
Gdy broń przykładał do ramienia...
Tak jedenastu postanowi:
— Lud w naszą dłoń powierzył miecze.
Wróg miasta w jassyr nie zawlecze.
Wszak nigdy Wołga wspak nie ciecze!

III.

Na szczyt wstępuje pełnić wartę
Ich Oddział w męstwa twardej zbroi.
Próżno wróg wojska pcha uparte,
Uzbecki żołnierz jak mur stoi.
Żelazny wał u nóg się kłębi.
Żołnierska śmierć zagląda w oczy.
Tak wiatr, choć wie, że gór nie zgnębi,
Pod niebo piasku słup zatoczy.
Jak ściana stoją pod dział grzmotem,
Próżno wróg zepchnąć chce ich rotę.
O nie, nie shańbią się odwrotem.

IV.

Te wzgórza nie są wszak wysokie,
Lecz kiedy spojrzysz w dal z ich ściany,
To wkrąg rozciąga się pod wzrokiem
Nasz Wschód rodzony, kraj kochany.
I widzisz nad grzywami piachu
Skraj nieba niski i zamglony:
Ciągnie wielbłądów sznur na zachód,
Dzieci w ogródkach śpią zielonych,
Ogrodnik - starzec tak, jak co dzień
Do sadu spieszy. Przy zagrodzie
Koń pluszcze się w krynicznej wodzie.

V.

I znów szturmuje wróg do miasta
I świeże krwi spływają strugi.
Wał trupów pod redutą wzrasta.
Już wyrósł zeń wierzchołek drugi.
Wciąż jedenastu miota ogień.
Tych jedenastu — lwy złowrogie.
Tych jedenastu sieje trwogę.

VI.

Cóż proch? Cóż ziemi garść? — błahostka.
Z prochu proch nawet nie przyrasta.
Lecz garstka ziemi — to już wioska
To rok — dzień bitwy o los miasta.
Zapomnij, że twój kraj ogromny.
Jeśli od wroga się odwrócisz,
Gdy skibę ziemi twej porzucisz,
To czymżeś bez niej ty — bezdomny!

Więc czoło — wrogom, plecy — skałom,
I jedenastu mężnych śmiało
Za kraj ojczysty życie dało,

VII.

Przeżyją sławną śmierć legendy.
Wieczysty jest mój kraj stuleci.
Świętym zwą matki wzgórze, kędy
Za kraj poległy miłe dzieci.
W legendę przeszło już świetlaną
Tych jedenastu synów Wschodu,
Wieść o nich przejdzie sto narodów
W legendzie dzisiaj zmartwychwstaną.
Mit wstał przy prochach ich na straży
I w stepach w pieśni o nich gwarzy
Kazach i Uzbek i Tatarzyn.

Przeł. T. Chróścielewski



WITOLD ZALEWSKI

S T A L I N G R A D

CZY pamiętacie owe dni zimy 42-go roku, kiedy skuleni pod kosą lodowatego wiatru stawaliśmy obok sinych kibłów okupanckich szczekaczek i z bijącymi sercami, z watą w gardłach, chłonęliśmy wiadomości o tym, że: „na froncie wokół Stalingradu jak również w samym mieście wojska nasze przeszły do akcji obronnej. Nieprzyjaciel, atakując wielokrotnie przeważającymi siłami zdołał w kilku punktach sforsować niemieckie punkty oporu...“ Niektórzy słuchali z przymkniętymi oczyma, jakby w wyobraźni swojej wywoływali ogromne stepy, pokryte śniegiem, teraz zasłane kupami zgniło - zielonych postaci, jakby widzieli płonące miasto grzmiące zwycięskim krzykiem „hurrraaa“; inni musieli się od razu dzielić triumfem; kiedy napotykali spojrzenie sąsiada mrugali z warszawska — konspiracyjnie, uśmiech rozciągał zaostrzone rysy, a w oczach zapalały się iskry niepowstrzymanej radości. Jeszcze za najbliższym rogiem mógł na nas czekać patrol żandarmski i kryta plandeką „buda“, mogli każdego z nas wywlec nocą z domu i zawieźć do miejscowości, skąd po kilku miesiącach wychodziło się dymem z komina, mogli nas „ukarać“, więzić, zabijać, ale teraz już, kiedy ustami własnych spikerów zaczęli wymieniać dzień w dzień słowo: Stalingrad, teraz już nie byli w stanie złamać naszej nadziei.

19-go listopada 1942 r. na północ od Stalingradu na tzw. stepach kałmuckich, Armia Czerwona przerwała front niemiecki. Następnego dnia uderzenie wojsk pancernych na południe od miasta złamało prawe skrzydło armii gen. Paulusa. Obie grupy uderzeniowe połączyły się na wschód od Donu, biorąc w kleszcze dziesiątki wyborowych, hitlerowskich dywizji.

Odtąd przez dwa z górą miesiące łowiliśmy odgłosy bitwy, w której rozstrzygały się wszystkie nasze codzienne i niecodzienne sprawy.

O zamknięciu kotła wokół Niemców pod Stalingradem, dowiedziałem się od profesora B. — historyka wykładającego dla nas — studentów drugiego roku tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich — podstawy nauk pomocniczych — paleografii, dyplomatyki i metodologię. Tego dnia zastałem profesora w jego pokoiku w Alei Niepodległości, pochylonego nad rozłożoną na biurku — mapą. Karbidówka, jak zwykle prychając strzelała promykiem, w pokoju jak zawsze tężał lodowaty ziąb i przez zaciemnione okno wpadał fragment drapieżnej pieśni chrypianej przez esmanów na dziedzińcu Staufern Kazerne. Ale profesor błysnął spoza grubych szkieł spojrzeniem, odmłodniałym o całe lata, pełnym ognia i blasku. „Wie pan już? Otoczyli ich. Cała armia... Paulus w worku... Pół miliona ludzi...“ zatarł ręce czerwone i opuchnięte od odmrożenia, pochylił się nad mapą „...niech pan patrzy, tutaj... tutaj spotkały się dwa skrzydła nacierające, klasyczna operacja, wielkie zwycięstwo, pierwsze zwycięstwo w tej wojnie...“

Nigdy jeszcze nie widziałem profesora B. tak poruszonego. Zaczął opisywać z naukową metodycznością dotychczasowy przebieg bitwy, potem szybko, gwałtownie, jakby się w nim coś otwarto, jakby nie mógł zatamować naporu uczuć zaczął mówić o bohaterstwie stalingradczyków. Profesor B. nie był „czerwony“, nie był nawet w jakikolwiek sposób związany z ruchem postępowym; często dostawałem od niego „Biuletyn Informacyjny“, „Rzeczypospolitą“ i inne pisma oznaczone krzywą szabelką. Profesor B. wierzył w demokratyzm Ameryki rooseweltowskiej, w postępowość rządu polskiego, kierowanego przez Sikorskiego. Myślę jednak, że korzenie jego światopoglądu sięgały znacznie głębiej niż by to wynikało z naiwnego powierzchownego uznania dla programu rooseweltowskiego. Profesor B. — znawca epoki polskiego Odrodzenia wiele czasu strawił nad pismami Modrzewskiego; żył z polską myślą postępową lat minionych, a dzień dzisiejszy jakoś się dotąd zacierał przed jego oczyma. Poza tym — wiedziałem o nim, że pochodzi z rzeszowskiej wsi, że przeszło rok siedział w poznańskim więzieniu, że stracił brata na wojnie i że głęboko nienawidzi okupanta, co świadczy o gorącej miłości do własnego kraju.

Wszystkie upokorzenia, których hitlerowcy nie szczędzili naszemu narodowi — profesor B. brał do serca, jak osobistą zniewagę. I oto teraz odwróciło się koło. Jest siła, która tej ciemnej mocy ukręci karku. Od wczoraj profesor był zupełnie pewny, że Rosjanie zadadzą hitlerowcom śmiertelne uderzenie. Siła tego narodu, który tyle już w tej wojnie stracił i nagle zadaje bestii cios, od którego echo idzie przez cały świat, siła ta zafascynowała profesora. Zaczął się zastanawiać i instynktownie szukać źródła tej siły we właściwej stronie; **Moralna siła ludzi...** Późno zaczęliśmy tego dnia wykłady o średniowiecznych dokumentach.

Dzieliliśmy się wiadomościami o tym, jak robotnicy z fabryki „Czerwony Październik“ prosto z hali na świeżo wyprodukowanych czołgach ruszają do boju.

Jest to właściwie fabryka traktorów, więc produkcja czołgów tylko w okresie wojennym...

Profesor B. przypomniał, że pod Carycynem już podczas rewolucji bolszewicy rozprawili się z Denikinem...

Potem znów o poświęceniu radzieckich żołnierzy. „Takiej armii Niemcy nie pokonają...“

Podczas naszej rozmowy przybyło dwóch kolegów. Jeden z nich Janusz J. kierował się na polityka. Tym razem przeciwstawił swój sąd profesorowi: „Niemcy jeszcze odsapną, panie profesorze; jeszcze schwycą bolszewików za gardło. Wtedy Anglosasi uderzą. Tych wrogów musi się nawzajem wykończyć... Nasza racja stanu...“

Profesor B. pokręcił przecząco głową, zaczął chrząkać, przecierać okulary i po chwili wróciliśmy do starych pergaminów. Tak jak student J. myślała w czasie stalingradzkich dni na pewno część naszego społeczeństwa. Ale tak jak profesor B. czuło w Polsce coraz więcej ludzi, a wielki bój, w którym objawiła się zdolność do najwyższych poświęceń i heroizm radzieckiego człowieka, wstrząsnął niejednym umysłem. Natomiast odbicie nastrojów społeczeństwa w kombinacjach politycznych macherów było skrzywiane ich taktyką pokornych wykonawców „dziejowej misji narodu“, oraz zleceń amerykańskich bankierów, trzymających nici w rękach.

Przypomnijmy kilka dat, z okresu Stalingradu, które obnażają rolę tych „polityków“.

30 sierpnia stutysięczna Armia Andersa, kompletnie wyposażona i gotowa do walki na rozkaz swojego dowódcy opuszcza Związek Radziecki. Tego samego dnia Niemcy przełamują ostatni pas obrony radzieckiej — trzydzieści kilometrów od Stalingradu. Armii Czerwonej brakuje rezerw, do walki stają kobiety i starzy robotnicy z fabryk stalingradzkich; jasne jest, że stutysięczny korpus polski mógł odegrać wówczas dużą rolę i przyczyniłby się na pewno do szybszego złamania Paulusa.

Tymczasem, kiedy Anders wyprowadza silną armię z kraju toczącego decydującą walkę z hitlerowcami, w Polsce cały naród walczy z najeźdźcą. Kilka miesięcy przed Stalingradem pierwszy oddział partyzancki Gwardii Ludowej wychodzi w pole. Mnożą się akty dywersji, zamachy na hitlerowskich dygnitarzy, kwitnie sabotaż gospodarczy.

16 października hitlerowcy wieszają w Warszawie 50 komunistów - peperowców i członków Gwardii Ludowej. W odwet Gwardia Ludowa przeprowadza terrorystyczne zamachy na Cafe Club, Restaurację Dworcową i „Nowy Kurier Warszawski“.

28 listopada jest dniem faszystowskiej ofensywy. Niemcy przystępują do eksterminacji ludności polskiej powiatu zamojskiego.

Zaczyna się „akcja“, w wyniku której 400 tysięcy osób wymordowano, zamęczono, wywieziono do obozów i na roboty do Rzeszy. Tego samego dnia faszyści polscy mordują przywódcę PPR — Marcelego Nowotkę.

Naród Polski na przykładzie Zamojszczyzny ujrzał unaocznioną wizję swoich losów, — w wypadku hitlerowskiego zwycięstwa. Ale pod Stalingradem, pod uderzeniami radzieckich ludzi z faszyzmu cieknie posoka. W Warszawie na murach domów, na parkanach i na chodnikach straszy niemieckich urlopników wypisane kredą: Stalingrad. Pod szczekaczkami zbierają się Niemcy, gazeciarze wymachują gadzinówkami: „planowy odwrót pod Stalingradem“.

Stalingrad!

Serca biją mocniej i łatwiej znosić mękę bezbronnego przechodnia, łatwiej patrzeć w twarze tłustym, dumnym zwycięzcom. „Wracać... łapanka...“ ostrzega jakaś kobieta młodego chłopca. „...Mszczą się za Stalingrad!“ — dodaje. Na wsi podlaskiej chłop przechowuje rannego partyzanta: „Jak tam pod Stalingradem?“ pyta towarzyszy rannego, którzy przyszli go odwiedzić. Profesor B. coraz częściej rozmawia ze studentami o polityce i o przyszłości. Wie już dobrze, do kogo ona należy.

Witold Zalewski

JACEK BOCHEŃSKI

SPRAWA WOJCIECHOWSKIEJ

(Fragment opowiadania pt. „Władza)“

SZYMON Król na próżno chodził do Wojciechowskiej.

— Powiedziałam, że nie, to znaczy, że nie.

— Pokątnie w chałupach potrafi Wojciechowska uradzać. Ma do gadania tyle — Król szeroko rozłożył ręce. — Czy nagle Wojciechowskiej język usechł? Byle co natrzepie, natrzepie, a na zebranie w remizie już bojaźliwa? Jak się Wojciechowskiej zdaje, że ma krzywdę, trzeba to wyraźnie ludziom powiedzieć.

— Wyście już tam beze mnie uchwaliły, może nie wiem, żeście wszystko uchwaliły tajnie? Na co ja teraz pójdę. Na takie kino? Chyba że tylko na kino...

— Nie ma się czego wstydzić. Wstydzić się można chłopa nago, a na zebraniu trzeba swoją rację powiedzieć.

— Wasze i tak będzie na wierzchu. Nic tam po mnie.

Wojciechowska uparła się i na zebranie gromadzkie nie przyszła. Wobec tego wystąpił Szymon Król, jako „upoważniony przez partię“ i oświadczył, że w egzekutywie analizowano sprawę Olejniczaka i Wojciechowskiej. Olejniczak zdał zboże na skup, a teraz nie ma na alimenty dla Wojciechowskiej. Przyjeżdżała w tej sprawie komisja z powiatu. Ta komisja radziła, by Olejniczak dał Wojciechowskiej pieniądze zamiast zboża. Wojciechowska powiada, że to będzie dla niej krzywda. Ale skąd Olejniczak weźmie zboże? Wojciechowska i tak całego zboża nie zje, tylko sprzeda. Więc egzekutywa uchwaliła, że Wojciechowska nie ma krzywdy, a teraz Szymon Król jako „upoważniony“ prosi, aby wszyscy podnieśli ręce i aby cała gromada także uchwaliła, że Wojciechowska nie ma krzywdy.

Ręce podnosiły się niemrawo, opadały i znowu szły w górę pod bystrym okiem Króla, który uroczyście liczył głosy. Ledwie Król skończył tę robotę i zawiadomił o jednomyślnym przyjęciu uchwały, z rozmaitych kątów odezwały się pomruki, że jednak Wojciechowska ma krzywdę. Sołtys prowadzący zebranie przeląkł się, spojrzał niepewnie na sekretarza organizacji partyjnej, później na Szymona Króla i nagle zawołał srogim głosem:

— Już za późno na dyskusję.

— Nie za późno. Ja chcę mówić — rzekł Szymon Król.

W tym czasie Olejniczak czuł już przyjaźń dla Szymona Króla. Początek przyjaźni był niezwykły. Olejniczak jechał kiedyś do GS-u z Królem i zapytał go tak samo jak Wójcika, czy to, co Wojciechowska robi z Olejniczakami, to nie wyzysk człowieka przez człowieka? Król odpowiedział „wyzysk“, a później podał sprawę Wojciechowskiej na egzekutywę. Czy Wojciechowska czymś naraziła się Królowi? — myślał Olejniczak. Jaki interes ma Król, by koło tego chodzić? Tymczasem spór Olejniczaka z Wojciechowską budził coraz większe zainteresowanie we wsi. Dwadzieścia lat trwała cisza, aż po dwudziestu latach zmąciła się przy skupie zboża. W tym skupie każdy miał jakiegoś bolaka. Rozogniły się ludzkie namiętności, pękały stare związki między przyjaciółmi, rosły nowe nienawiści i nowe przyjaźnie. Ludzie stali się pobudliwsi, a także śmielsi do każdego rozruchu w gromadzie. Otwierały się zabliźnione rany i odzywały zastarzałe boleści. Jeden drugiemu patrzył na ręce, jeden drugiemu liczył kwintale, każdy wołał o sprawiedliwość od czasu, gdy wojewódzki pełnomocnik zaczął niemal codziennie przyjeżdżać do gminy i gdy przegnano stamtąd „siostrzeńców“. Korzeń Polski, zniszczony gradobiciem, odstawiał zboże. Ale równocześnie nadeszła czarna godzina dla chytrusów. Tajemnicze wywiady przeniknęły do sekretnych kopców, do schowków, do wszelkich stodółek i stogów. Niewiadomymi sposobami wychodziło na jaw, co kto omłócił, co kto ukrył i wydawało się, że nawet myśli ludzkie nie są już tajne, lecz powszechnie znane. Jakby wlano oliwy do ognia, tak skup zboża przepalał ludzkie dusze. Niczym pożar szedł przez wieś, rozsypując „sztywnych“ na popiół



Rys. Bimali Horska

a hartując słabeuszów. W tym płomieniu nie ostała się również Wojciechowska.

Szymon Król wyraźnie zawziął się na Wojciechowską. „Jak to? Czy takiej skup już nie dotyczy? Jak jest skup, niech nikogo nie minie“. Król organizował nienawiść przeciwko Wojciechowskiej. Olejniczak rósł. Król zjednał najpotężniejszego stronnika: partię. Co idzie przez partię, to zwycięża. W partii niczego nie traktują miękko, wszystko wyzbywa się tam stron wątpliwych a nabiera surowości. Nagle Olejniczak pojął: tylko partia oceni jego krzywdę tak surowo, jak on ją czuł w sobie. Taki jest porządek w partii, co stamtąd wychodzi, wychodzi twardsze od żelaza. Teraz już nie pamiętał Olejniczak, że partyjni szli na urzędy i prezesury. Całą swą nadzieję pokładał w tym, że oni byli przy władzy.

— Co to za mowa? — rzekł Szymon Król. — Co to za mowa, że Wojciechowska ma krzywdę. Odkąd to lichwiarzom może być krzywda? Skórę drzeć z człowieka — owszem, nie ma krzywdy, a jak nie dają drzeć, to krzywda?

Młodzi przytaknęli „słusznie, słusznie“, ale wśród starych trwał ciągle niespokojny szmer.

— Tak alimentników urządzacie, że chyba, kto stary, ma iść do mogiły. To lepiej od razu zabić.

Młodzi odpowiadali, że alimenty są u wszystkich w poszanowaniu, bo tak było zawsze, ale dawniej nie było planowego skupu, a teraz jest. Może alimentnicy dadzą zboże na skup? Nie chcą? No to trzeba podchodzić społecznie i wyrozumieć tych, co na skup dają. Przecież i tak wiadomo, że jeszcze żaden alimentnik nie poszedł z torbami. Po co to kręcenie? A zresztą poniektóry alimentnik, jak nie przymierzając Wojciechowska, bywa bogatszy od tego chudziaka, co go żywi. I każdy jednako płacze.

— Ja chodziłem do Wojciechowskiej — opowiadał Szymon Król — i mówiłem, żeby przyszła na zebranie. No i nie przyszła. Ona sama taka w tym niepewna, że wolała tu nie przyjść.

Szymon Król omylił się. Wojciechowska piła tymczasem wódkę. Ale piła nie dla smaku, lecz po to, by utopić w sobie lęk. Po niespełna godzinie przybiegła do remizy z płaczem. Powiało od niej zimnem, a równocześnie smrodem.

— Com ja winna, że mój nieboszczyk zarąbał dzieci? Dlaczego mi odbieracie chleb?

Serca ludzkie są miłosierne. Tylko uczucie litości mogła budzić Wojciechowska, przypominająca teraz nie człowieka ale łachman.

— Ma krzywdę — szepnęło znowu kilka głosów.

— Moje dzieci w grobie, Olejniczak przetrącił mi nogę, com ja temu winna? Dlaczego mi na starość odejmujecie tę kapkę zboża?

Wszyscy milczeli. Języki stwardniały jak drewniane szczapy.

— Coście na mnie takie zawzięte? Śmierci mojej chcecie? Kto mi da jeść?

Głos Wojciechowskiej padał w ciszę. Stała przy drzwiach tak jak weszła, zadyszana, w czarnej chuście na głowie.

— Com ja winna, że mój Antoni był obłąkany?

Na to odezwał się Szymon Król:

— A dlaczego wasz był obłąkany? Od czego mu się pomieszało w głowie?

Teraz umilkła Wojciechowska. Wszystko zawirowało jej w oczach. Szymon Król nabrzmiewał czerwonością.

— Nie wiecie? To ja wam powiem. Bo Wojciechowska chodziła do żyta.

Ktoś roześmiał się głupkowato. Ktoś krzyknął. Wojciechowska zatrzepotała rękami, jakgdyby chciała od siebie odpędzić niewidocznego upiora. Potem nagle stanęła sztywna, wyprostowana, poprawiła chustkę na ramionach i rzuciła w tłum:

— Bydlaki!

Wśród zebranych w remizie był Wojciechowski. Usłyszał krzyk Szymona Króla, usłyszał krzyk bratowej i nagle skurczył się, ale równocześnie coś w nim zagrało jak w starym zegarze, poruszyły się warstwy zleżałych wspomnień, trochę koszmarne, a trochę rzewne. To z nim, właśnie z nim spotykała się Wojciechowska w życie, gdy oboje byli młodzi. Teraz trudno mu w to nawet uwierzyć, lecz tak było. Mieli tam swoje godziny miłości, niecierpliwej, gorączkowej, szeptali sobie słowa, które miodem ciekły w serce, grzało ich słońce, oho, co wyprawiali! Aż kiedyś nakrył cudzołożników w tym zbożu Antoni. Więc potem już przezorniej: widywali się wieczorem w stodołach albo czekali chwili, kiedy Antoni musiał wyjechać. Nawet i wtenczas Józef zachodził od tyłu, ogrodem, nie furtką, bo Antoni zatykał w skobelku jakieś słomki, po których poznawał, czy żona przyjmowała kogo w domu. Już padło to Antoniemu na mózg. Przychodził do brata, nie groził, nie bił, tylko błagał: „Józefie, powiedz, jak ty właściwie z nią, czy tak tylko, czy już zupełnie. Przysięgnij mi Józefie, że ty tak tylko.“ Kiedy indziej pytał: „Ile razy to było?“ Józef mówił: „Już nie, już teraz nigdy. Skończyło się.“ „A ile razy było?“ „Dwa“ — szeptał Józef. „Dwa? Dwa? Przysięgnij. Ja wiem, że trzy. Przysięgnij, że dwa.“ Potem Józef z jeszcze większym smakiem oplatał bratową. Antoni rozsypywał się jak zrobaczywiały liść. W tych latach nastał kryzys, a z nim nędza Antoniego. Były to czasy, gdy gospodarze bankrutowali, ale ich bankructwo użyźniało nieraz grunt pod fortunę innych. Antoni zapuścił gospodarkę, wypobożniał i doszczętnie zgłupiał. „Józefie, a dzieci są moje czy twoje?“ — pytał brata. „Czy one mogą być twoje?“. Józef nie mówił o dzieciach. Myślał, że może kupi od Antoniego ziemię. Jednak Antoni nie sprzedał ziemi, bo się bał dopuścić brata bliżej żony. Nikt poza Józefem i jego bratową nie wiedział, co cierpi Antoni. Niekiedy zazdrość przygasała, Antoni uspakajał się na szereg dni i wtedy zdawało się, że to jakoś przejdzie, że przedawni się w pamięci, jak przedawnia się tyle małżeńskich zdrad. Nagle Antoni zaczynał na nowo skomleć pod progiem brata. „Czyje są dzieci?“ „Twoje“ — mówił Józef.

Z tym skomleniem przychodził Antoni do Józefa prawie po sam dzień swej zbrodni. Zabił dzieci. Otruł się. A później Józefowi zabrakło odwagi. Nie kupił od brata gruntu. Dawna miłość także wystygła.

Ale teraz na zebraniu w remizie Wojciechowski kulił się jak zbity psiak. Nie o nim mówią, lecz od chwili, gdy padło ostatnie słowo bratowej, Wojciechowskiemu bije serce. Wszystko, co następuje później, nie trwa dłużej niż kilka sekund. Oniemiałe twarze zastygły jak maski kamienne. Tylko sołtys podniósł się nie wiadomo po co za stołem, ale natychmiast ugięły się pod nim nogi, przysiadł. Król otworzył usta i nie powiedział słowa. Wojciechowska krzyknęła jeszcze raz:

— Świnie!

Na to Król jak nieprzytomny ruszył przed siebie. Szedł do Wojciechowskiej. Trudno zgadnąć, co by się mogło stać, gdyby Król już przy pierwszych krokach nie potrącił lampy, która z brzękiem spadła na podłogę i zgasła. Równocześnie otworzyły się drzwi remizy i przesunął się w nich szybko ludzki cień, a z głębi ciemnego wnętrza rewizy dobiegł czyjś głos:

— Nic nie dać tej ......

Głos był wściekły, chrapliwy i nie był głosem Olejniczaka.

Inny odparł:

— Nic jak nic. Byt zabezpieczyć i to wszystko.

Jacek Bocheński



ZYGFRYD SAWKO

WIEŚ SOMPŁACIE W OKRESIE WYKOPEK

Wykopki. W deszcz. I ludzie w polu mokli.
Kiedyż to pyry w pryzmach wreszcie złożą?
Nie w ziemi,
W błocie szukał chłop kartofli,
By zebrać w porę, zanim złapią mrozy.

Wciąż siąpił deszcz — do suchej zmokli nitki,
A tu
Zjechali do wsi literaci.
W wieczór ten
Z domu
Kto nosa nie wytknie
Wysłuchać gości w głuchej wsi Sompłacie.

Od dni głoszono wizytę z Warszawy.
Potrafią przyjąć na Mazurach godnie.
Wciąż siąpi deszcz.
Chłop nawet w usta strawy
Gorącej nie wziął, konie w stajni głodne...

Z kartoflisk
Zatopionych w niskich chmurach —
Wrócili ludzie.
Nim się zakrzątnęli —
Już dzieci z wieścią wpadły, że akurat
Przed szkołą goście autem przystanęli.

Spotkały powóz tuż koło zakrętu;
Wjechali do wsi.
Paczkę książek znieśli —
Przemokli w drodze, chociaż pod brezentem
Odbyli podróż nad brzegami jezior.

Kolację zanim w domach się przyrządzi —
Przywitać trzeba społem.
Mrok wieczorny...
W ciemności iść ze światłem lżej. Nie zbłądzisz.
Ktoś właśnie
Wniósł latarnię na próg szkoły.

Nie myślał Mazur przed latami wcale,
Że swą latarnię, którą w stajni wieszał,
Dla bajek Mickiewicza dziś zapali,
Dla wierszy
Młodych sercu
W dżdżysty na wsi wieczór.

Zygfryd Sawko



Rys. Bimali Horska

SYLWESTER BANAŚ

ZABAWA W JASIEŃCU*)

W JASIEŃCU przygotowywała się wielka uroczystość. Robotnicy Zakładów Starachowickich w ramach czynu październikowego zobowiązali się wyremontować i wyposażyć świetlicę POM-owską. Cały miesiąc wrzała praca. Obszerny salon, pusty hall, zaniedbane i brudne, z pomocą sprawnych rąk stolarzy, murarzy, malarzy zamieniły się na czystą, estetyczną, ozdobioną malowidłami świetlicę, wyposażoną w bibliotekę, krzesła, stoliki do gry, szachy.

Moment otwarcia świetlicy zbiegł się z momentem powrotu brygad z zimowej orki. Mróz zaczynał już skuwać ziemię lodowatą obręczą i w powietrzu wirowały drobne płatki śniegu, gdy znów na podwórze POM-u zajechała zwycięska kolumna wywiązawszy się ze swego zobowiązania. Zmęczeni, zziębnięci, lecz szczęśliwi, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, wprowadzili traktorzyści swoje stalowe rumaki do garaży, na zimowy postój.

Ze Starachowic przybyła ekipa artystyczna.

Mimo zaklinania się, że noga ich nie postoi w POM-ie, najwcześniej ze wszystkich przybyli do świetlicy mieszkańcy czworaków, zwabieni ciekawością.

— O, nawet za dziedzica nie było tu tak ładnie — zauważyła Lipcowa rozglądając się dookoła.

— Jak tak ino wszedłem — zastrzegał się Stecki — ale niech zaczną co gadać o wspólnocie, to zaraz wychodzimy, ludzie.

— Tak, tak, wychodzimy — poparli go Styga i Zielonka.

Ludzi przybywało. W końcu brakło miejsc siedzących. Nawet z dalszych wsi przyszli chłopi, zwabieni wieścią, że w Jasieńcu „coś będzie“.

Zaproszeni przedstawiciele zajęli miejsca na trybunie. Doborowy zespół orkiestry starachowickiej odegrał Międzynarodówkę. Po dyrektorze zabierali kolejno głos: przedstawiciel Partii, Centralnego Zarządu Państwowych Ośrodków Maszynowych, Wojewódzkiej Rady Narodowej i przewodniczący spółdzielni w Sulęcinie.

Spoglądali na siebie jasieńscy. Słyszą tyle przemówień, a w żadnym nikt ich nie zachęca do wspólnoty. Powiedział Czarniecki o osiągnięciach swojej spółdzielni i na tym koniec. Nikt nie wołał: „Podpisujcie deklaracje!“ Natomiast dyrektor mówił, że będą mogli przychodzić do świetlicy, przeczytać gazetę, książkę, zabawić się, miło spędzić zimowe wieczory.

Szturchali się chłopi łokciami:

— Ale nas podbiera, ale umie gadać, gdzieby do takiej czystej świetlicy puszczali co dzień i za darmo ludzi? Buja i tyle!

Traktorzyści również mieli dzisiaj niespodziankę.

Po przemówieniach odczytał dyrektor listy z podziękowaniami, jakie napłynęły do POM-u od spółdzielni produkcyjnych i grup indywidualnych chłopów. Wyrażano wdzięczność za wzorową i wydajną pracę poszczególnych brygad i traktorzystów. — Do dobrych wyników traktorzystów w dużym stopniu przyczyniła się wzorowa i pełna zrozumienia praca dwóch mieszkańców Jasieńca, towarzysza Cieślaka i Grudy, za co im bardzo dziękuję — powiedział dyrektor.

Spojrzała Grudzina na swego chłopa z dumą. Stał skromnie pod ścianą uśmiechając się, zawstydzony.

Popatrzała Cieślakowa na swego — o widzisz, wyróżnili cię!!!

Szeptały między sobą jasieńskie:

— Patrzta, patrzta! — i z nieświadomą dumą spoglądali na ludzi z innych wsi, jak gdyby chcieli pochwalić się: „To nasze z Jasieńca, o nich dyrektor mówił“.

W tej chwili nie chcieli pamiętać, ile nadokuczali tym „naszym“ za to, że poszli pierwsi pracować w POM-ie,

— Za dobre osiągnięcia w orce i umiejętne obchodzenie się z ciągnikiem otrzymują traktorzyści Włodarczyk i Zarychta srebrne odznaczenie przodowników pracy...

Zalśniły srebrzyste gwiazdki na piersiach zarumienionych i szczęśliwych traktorzystów. Grzmot oklasków wstrząsnął salą. Bili brawo i koledzy z POM-u i goście. Rumienił się coraz bardziej młodziutki przodownik Włodarczyk.

W przerwie między częścią oficjalną a artystyczną Grabowski, oglądając z zazdrością odznaczenia, powiedział:

— Widzę, że jak kto się stara, to wiedzą o nim. Słusznie wam się to należało, ale na drugi raz to żeby nie wiem co, ja wezmę pierwsze miejsce!

Z otwartymi ustami słuchali ludzie koncertowych utworów orkiestry, dobranego chóru. Podobał się bardzo występ baletu, ale Lipcowa pociągnęła za rękę teściową Przygodzkiego:

— Tfu, patrzcie, jakie bezwstydne! Gołe nogi pokazują i majtki im widać. Tyż panny! — chichotały wstydliwie kobiety.

— No, a teraz możemy się ze dwie godziny pobawić — powiedział na zakończenie dyrektor. — Muzyka będzie grać do tańca.

Dla fasonu ciągnęły matki swoje pociechy do domu. Te się opierały, rade pohulać, no, a stare też nie były od tego, żeby popatrzeć, tym bardziej, że harmonista z miejsca wyrżnął oberka, a saksofony dziś też nie próżnowały.

Chłopi nie wychodzili, niby to czekając na baby. Paru tylko wyciągnął Stecki szepcąc im do ucha, że ma w domu trochę wódki na zalanie robaka.

Dziewczyn było niewiele, chętnych do tańca traktorzystów sporo. Toteż Grabowski nie namyślając się porwał stojącą pod ścianą Lipcową, a Osojca wyciągnął na środek kiwającą ze zgorszenia głową starą teściową Przygodzkiego.

Stara opierała się z początku, ale harmonista rozciągnął harmonię na całego, dzielnie sekundował mu saksofon, a bęben huczał, aż szyby się trzęsły — no i poniosło babkę.

— Usia-sia, usia-sia... — pisnęła i poszła w tany. Myślał Osojca, że babka prędko ustanie, ale tu się dopiero sprawdziło przysłowie „w starym piecu diabeł pali“.

Jedna za drugą odpadały zmęczone pary. Osojcy pot oblepił plecy, a babka hulała. Wreszcie na środku pozostała jedna para — Osojca z babką. Przygodzki stał w kącie i wydziwiał na głos:

— Patrzcie starego grzyba, jak to hula, a jak potrzeba iść za gęsiami czy krowę wygnać, to mówi, że ma rematyz.

Chłopi dogadywali:

— Widać, Czesław, będziesz musiał wesele wyprawiać. Babka odmłodniała!

Wreszcie harmoniście ścierpły ręce. Urwał w pół taktu. Babka chwiejąc się klapła ciężko na krzesło:

— Uf, alem się wyhulała. Uf.

Osojca obcierał pot z czoła dziwiąc się:

— Wziąłem babkę dla żartu, a tu masz!

Późno w nocy rozchodzili się ludziska do domu, bo zapowiedziane dwie godziny przeciągnęły się w sześć. W oczach wszystkich żegnał się czule Wiśniewski z Różką. Zielonkowa udała, że nie widzi.

Już przed czworakami powiedziała Lipcowa do babki:

— Ale niczego nawet te traktorzysty, galante do hulania chłopaki z nich, i w tym POM-ie człowieka tak zabawiły.

— Ale hulają — przerwała babka — wcale jak za moich czasów. Ojej, jej! — skrzywiła się — ale mnie niemożliwie drze noga. Pewno znowu zrobi się plucha, diabelny rematyz.

Sylwester Banaś

*) *Fragment powieści pt. „Przebudzenie“, która ukaże się nakładem SWO „Czytelnik“.*

BARBARA TYLICKA

DOBRA TRADYCJA POWIEŚCI DLA MŁODZIEŻY

DO niedawna młodzież w wieku lat 12—14 pasjonowała się literaturą „dzikiego zachodu". W ubiegłym roku w jednej ze szkół warszawskich toczyła się ożywiona dyskusja na temat wartości tego rodzaju lektury. Nauczycielka języka polskiego, zaniepokojona poczytnością wśród dzieci powieści, propagujących nienawiść rasową i torujących drogę ideologii faszystowskiej, postanowiła w dyskusji z młodzieżą wyjaśnić przyczyny popularności powieści kryminalnych w rodzaju „Klub Domino", „Pogromca", „Tajemnicze brylanty" itp. Na dyskusję zaproszono autorkę znanej powieści dla młodzieży pt. „Zemsta rodu Kabunauri" Helenę Bobińską. W dyskusji wypowiedzi młodych czytelników wyjaśniły przyczyny atrakcyjności literatury detektywistycznej i „cowboyskiej". „...W tamtych książkach jest zawsze jakaś tajemnica, która się dopiero w końcu wyjaśnia i dlatego to jest ciekawe" — powiedziała jedna z uczennic. „W kryminalnych książkach od razu zaczyna się akcja, a w innych opisuje się to i to i potem dopiero wplata się to w akcję"; „W kryminalnych książkach jest tak, że ten co czyta, nie wie jak się to skończy, do końca jest napięcie" — stwierdzały wypowiedzi chłopców. Sugerowały one jakiś specyficzny rodzaj techniki powieści dla młodzieży. Na tę jedną ze specyficznych cech literatury młodzieżowej zwrócił niegdyś uwagę wielki krytyk rosyjski Czernyszewski: „Spójrzcie, mówił, czy dziecko lubi rozwlekłość, wodnistość opowiadania? Nie; ono nieustannie pyta nas: Więc cóż dalej? Mówcie szybciej, szybciej prowadźcie bajkę do końca, mówcie tylko to, co najistotniejsze". Dzieci nie lubią zwolnionego tempa narracji, żądają napięcia w rozwinięciu tematu. Problem musi się rozwijać w toku żywej akcji. Znają te upodobania młodych czytelników autorzy i często przesadzają. Nie rzadko ubóstwo uczuć i treści ideologicznych zastępują obfitością i zmiennością wydarzeń.

„Zemsta rodu Kabunauri" *) jest w naszej lekturze dla dzieci chyba jedynym przykładem utworu, gdzie autorka potrafiła organicznie związać socjalistyczną treść wychowawczą książki ze specyficznymi koniecznościami typu narracji dla młodych czytelników. We wspomnianej dyskusji młodzież podnosiła wartości książki H. Bobińskiej. Zyskała ona wielką popularność. „Karta książki" we wszystkich czytelniach dla dzieci i młodzieży jest ciasno zapisana datami wypożyczeń. Taką umiejętność rozbudowania tematu, logiczność i wartość biegu akcji, ścisły związek tematu z rozwojem obrazów wykazują najlepsze radzieckie powieści dla młodzieży.

Powieść H. Bobińskiej, po raz pierwszy wydana w Moskwie w r. 1930, jednocześnie po rosyjsku i po polsku, jest związana z osiągnięciami literatury radzieckiej i wyraża atmosfrę socjalistycznej książki dla dzieci w Kraju Rad. W tym czasie w Polsce literatura dla dzieci i młodzieży była wyrazem solidaryzmu klasowego, kosmopolityzmu, nacjonalizmu i nienawiści do ZSRR. Dla dzieci pisała Buyno-Arctowa, Czarska, Zakrzewska, ks. Pasławski itp. Na powieść Heleny Bobińskiej w tej literaturze słodkawej, burżuazyjnej szmiry miejsca nie było. Elementy postępowej ideologii dochodziły do głosu tylko w twórczości H. Górskiej



Uczniowie szkoły podst. z Żakowoli, pow. Radzyń-Podl.
Foto: J. K. Maciejewski

czy H. Boguszewskiej, ograniczanych wymogami cenzury i niedojrzałością ideową twórców. Powieść Bobińskiej wydano po raz pierwszy w Polsce dopiero w roku 1950, kiedy literatura nasza przeszła zasadniczy przełom ideologiczny w kierunku realizmu socjalistycznego.

Akcja powieści toczy się w Gruzji na początku lat 20-tych, w warunkach stworzonych przez Wielką Rewolucję Październikową. Rewolucja przyniosła krajom zakaukazkim niepodległość, ale władzę zagarnęła klika mieńszewików. Walka z bandami białych i interwencją, przenikanie ideologii rewolucyjnej do najbardziej górzystych, niedostępnych okolic Kaukazu — to tło historyczne powieści. Autorka uogólniła w obrazach powieściowych „to co najistotniejsze"' dla wpływu Wielkiej Rewolucji Październikowej na życie wyzwolonych narodów: narodziny internacjonalizmu, przyjaźni między ludami, narodziny nowej komunistycznej moralności, która powstała w walce o człowieka, w obronie jego praw do najpełniejszego życia i szczęścia.

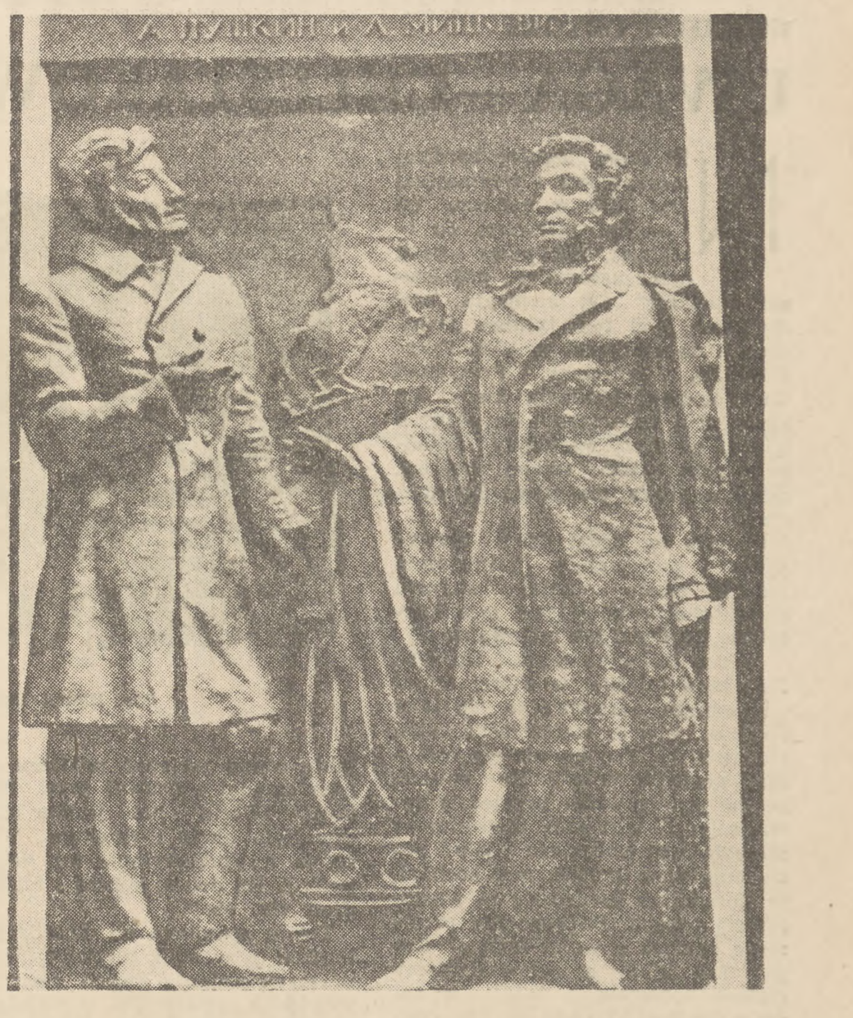
Jest w powieści rozdział uogólniający w sposób artystyczny typowe zjawisko lat porewolucyjnych. Zatytułowała go autorka „Kamerade". Tak nazwał niemieckiego jeńca marzącego o przeniesieniu doświadczeń rewolucji do swego kraju, ubogi szewc gruziński Arczył. Autorka problem międzynarodowej solidarności rewolucjonistów, potępienie wojny imperialistycznej i głęboko humanitarny stosunek do człowieka potrafiła wyrazić bez odwoływania się do zbytniego deklaratywizmu, potrafiła narzucić je młodemu czytelnikowi jako konieczny wniosek z przebiegu akcji.

Książka Bobińskiej potrafiła młodzieży zobrazować w sugestywny sposób wielką, postępową rolę Rewolucji Październikowej w życiu narodów gnębionych niegdyś przez carat i utrzymywanych w zacofaniu i wiekowej ciemnocie. Stare obyczaje górskiego aułu, barbarzyństwo skostniałego prawa „adatu", cofać się muszą przed zorganizowaną ofensywą nowego życia, nowych obyczajów człowieka wolnego i twórczego, nową moralnością ugruntowaną na humanitaryzmie, na szacunku dla każdej jednostki ludzkiej. Autorka pionierem walki przeciw „adatom", przeciw nieludzkiemu prawu zemsty rodowej, uczyniła młodego chewsura Niko Kabunauri, ostatniego z roku wyniszczonego przez 150-letnie waśnie. Niko, wychowany w proletariackiej rodzinie Tyflisu radziecki pionier, znalazłszy się w aule swych przodków, burzy się przeciw barbarzyństwu starych praw, gdy minie pierwsze olśnienie na widok egzotycznej kultury, rycerskich obyczajów chewsurów i urzekających żyłkę awanturniczą młodego chłopca „praw mężczyzny". Gorący bunt Niko przeciw łamaniu człowieka w imię skostniałego obyczaju, przeciw pogardzaniu kobietami, przeciw prawu nienawiści silniejszemu w aule niż ludzkie pragnienie przyjaźni, zawiera w sobie humanistyczną treść nowej radzieckiej moralności, odgrywa wielką rolę wychowawczą, uczy pasji bojownika, odwagi i nieustraszoności. Ale autorka zgodnie z prawami realizmu nie czyni z Niko cudotwórcy, mogącego na własną rękę zmienić odwieczne obyczaje odciętego od świata górskiego zakątka. Nowe przyszło do Chewsuretti wraz z twórczą ofensywą kulturalną władzy radzieckiej.

Niko, bohater pozytywny Bobińskiej, jest postacią żywą i przekonywającą Zaangażowanie ideologiczne po stronie parti bolszewików, po stronie zdobyczy Wielkiej Rewolucji Październikowej przeprowadza autorka w sposób realistyczny, bez zawiłego teoretyzowania i deklaracji. Niko jest wielbicielem Armii Czerwonej, bo wychował się wśród proletariatu, bo jego przybrany ojciec jest jej żołnierzem. Bogaty kupiec Tapanadze jest dla chłopca rzeczywistym wrogiem, bo czyha na śmierć ojca. Przyjaciółmi są ubogi szewc Arczył, czyściciel butów, ci wszyscy, którzy razem z nim czekają na jego tatkę, żołnierza Armii Czerwonej — bolszewika. Jest to słuszna obserwacja procesu kształtowania się świadomości ideowej dziecka. Przyjacielem Niko musi być także Akiela, z którego prawa aułu zrobiły śmiertelnego wroga. Jest dzielny, prawy; trzeba go tylko wyzwolić spod okrutnej władzy „adatu". Niko zdobywa go ludzkim uczuciem przyjaźni, uczy go zrozumienia piękna wzajemnej pomocy. W książce wzrusza czytelnika to, co kiedyś musiało bardzo porwać autorkę: narodziny wielkiej idei przyjaźni między narodami, narodziny nowego świata niszczącego okrutne przeżytki starych praw i nowej urzekającej moralności komunistycznej „Zemsta roku Kabunauri" to powieść, która jest jak dotąd największym osiągnięciem realizmu socjalistycznego w naszej literaturze dla dzieci. Jej ładunek ideologiczny oddziaływa na młodego czytelnika tym silniej, że organicznie związany jest z formą uwzględniającą specyfikę upodobań młodego czytelnika. Stanowi on wyraz „wielkiej przygody" opartej nie na chorobliwej wyobraźni autorów „dzikiego zachodu", ale na prawdzie zycia Kraju Rad, na wielkiej, pięknej roli, jaką odgrywa w nim młodzież.

Barbara Tylicka

*) *Helena Bobińska „Zemsta rodu Kabunauri", „Nasza Księgarnia", 1951.*



TRADYCJA PRZYJAŹNI POLSKO-RADZIECKIEJ

MICKIEWICZ I PUSZKIN

DWAJ najwięksi poeci Polski i Rosji poznali się ze sobą na jesieni 1826 roku w Moskwie. Moskwa przyjęła Mickiewicza entuzjastycznie — opromieniała go sławą wygnańca i męczennika za sprawę wyzwolenia, a nadto poprzedzała fama młodego, ale już świetnego poety.

Mickiewicz trafił w Moskwie do środowiska literackiego, ugodzonego boleśnie kaźnią nad dekabrystami, ale nie złamanego na duchu. Idee wyzwoleńcze nurtowały dalej literaturę rosyjską, szczególnie twórczość największego jej przedstawiciela, Puszkina, wokół którego skupiało się grono wybitnych literatów moskiewskich jak bracia Polewojowie, Kirejewscy, Piotr Wiaziemski, bibliofil i bibliograf Sergiusz Sobolewski, poeta Boratyński, protektorka sztuki księżna Zinaida Wołkońska i inni. Bawił w Petersburgu krótko do 24 stycznia 1825 roku, ale zdążył nawiązać potrzebne i interesujące go stosunki. Wraz z Polakami Malewskim i Jeżowskim obracał się w kole pisarzy związanych ze spiskiem dekabrystów, zbliżył się do Rylejewa.

Kontakty z dekabrystami utkwiły na długo w pamięci autora późniejszego wiersza „Do przyjaciół Moskali". W wykładach paryskich w r. 1842 poeta dał charakterystykę poznanego środowiska: „Dwa były ogniska sprzysiężenia: jedno w Petersburgu, drugie w Rosji południowej, kędy zawiązywały się stosunki z Polską. Prowadzono rzecz otwarcie i, co na zawsze pozostanie pamiętnym, to uczciwość wszystkich spiskowych. Przeszło pięćset osób różnego pochodzenia, różnych stopni należało czynnie do zmowy, trwającej lat dziesięć, pod rządem czujnym i podejrzliwym, a nikt jej nie wydał. W Petersburgu wielu oficerów i urzędników zgromadzało się w mieszkaniach od ulicy, radzono przy otwartych oknach, a nigdy policja nie dowiedziała się o przedmiocie tych schadzek: opinia publiczna była mocniejsza od postrachów rządowych."

Do przedstawicieli postępowej kultury rosyjskiej Mickiewicz zbliżył się jako „swój człowiek", rozeznany w zagadnieniach literatury rosyjskiej, bliski podjętej walce o wolność. Puszkin wrócił wtedy z zesłania ze wsi Michajłowskoje. Spotkanie między nimi nastąpiło w mieszkaniu Sobolewskiego. Tu miało odbyć się pierwsze czytanie „Borysa Godunowa". Zaproszono Mickiewicza. Współcześni dają żywe świadectwo wielkiemu wrażeniu, jakie wywarła na zebranych i na Mickiewiczu lektura „Borysa Godunowa".

Spotkanie dwu wieszczów zapoczątkowała wielką, głęboką przyjaźń.

W kilka miesięcy po zawarciu znajomości Mickiewicz pisał o Puszkinie w liście do Odyńca: „Obszerniej kiedyś o nim napiszę; teraz tylko dodam, że go znam i często się widujemy. Puszkin prawie mojego wieku (dwoma miesiącami młodszy), w rozmowie bardzo dowcipny i porywający: czytał wiele i dobrze zna literaturę nowożytną: o poezji ma czyste i wzniosłe pojęcia, napisał teraz tragedię „Borys Godunow", znam jej scen kilka w rodzaju historycznym, dobrze pomyślane i szczegółowo piękne."

W kwietniu 1828 r. na cześć Mickiewicza, wyjeżdżającego do Petersburga, postępowa Moskwa literacka wydała ucztę pożegnalną, na której wręczono poecie puhar z wyrytymi nazwiskami rosyjskich przyjaciół. Kirejewski i Boratyński przemawiali do Mickiewicza wierszem. Wspomnienie tej chwili (aluzja do puhara) z czasem odezwie się w słynnym wierszu „Do przyjaciół Moskali".

W Petersburgu między Mickiewiczem a Puszkinem trwała dalsza gorąca przyjaźń. Charakter jej uwiecznił utwór polskiego poety pt. „Pomnik Piotra Wielkiego".

Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńce
Pod jednym płaszczem, wziąwszy się za ręce:
Jeden, ów pielgrzym, przybylec z zachodu,
Nieznana carskiej ofiara przemocy;
Drugi był wieszczem ruskiego narodu,
Sławny pieśniami na całej północy.

27 maja 1829 roku Mickiewicz opuścił Rosję. Puszkin był wtedy na Kaukazie. Nie zobaczyli się więcej. Ale rozstali się z myślą o sobie: Mickiewicz wyjeżdżał z przesłanym mu przez autora egzemplarzem puszkinowskiej „Połtawy"; w bibliotece Puszkina przechował się tom poezji Byrona z własnoręczną dedykacją Mickiewicza „Byrona Puszkinowi poświęca wielbiciel obydwóch A. M."

Przyjaźń tak wielka i wzniosła pozostawiła trwały ślad w twórczości obydwu wieszczów. Za radą Mickiewicza Puszkin usunął jedną scenę z „Borysa Godunowa". Już w grudniu 1827 r. wprost z rękopisu tłumaczył wstęp do „Konrada Wallenroda". W sześć lat później przełożył „Czaty" i „Trzech Budrysów". Mickiewicz przetłumaczył w r. 1828 „Przypomnienie" Puszkina.

Powstanie listopadowe stanowiło ogniową próbę dla przyjaźni obydwu wieszczów. Lecz Mickiewicz w „Pomniku Piotra Wielkiego" sam stwierdził:

„Ich dusze wyższe nad ziemne przeszkody".

W III cz. „Dziadów" Mickiewicz zaakcentował rozróżnienie między Rosją caratu a Rosją dekabrystów, między reżymem a narodem. Carat i zdrajców wolności potępiał w gniewnych słowach, piętnował i chłostał, a w „Ustępie" III części „Dziadów" zdobył się na najwyższy hołd dla skazanych dekabrystów. W wierszu p.t. „Do przyjaciół Moskali" potwierdzał swą przyjaźń:

Wy, czy mnie wspominacie? ja, ilekroć marzę
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach
I o was myślę: wasze cudzoziemskie twarze
Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

Wiersz „Do przyjaciół Moskali" wywołał piękny odzew — utwór puszkinowski p.t. „Mickiewicz".

„Był tu wśród nas
Pośród obcego mu plemienia. W duszy
Nie żywił dla nas nienawiści. Myśmy
Też go kochali. Cichy, dobrotliwy
Był uczestnikiem biesiad naszych. Z nim
Dzieliliśmy się i marzeniem czystym
I pieśnią. ...Często

Mówił o przyszłych czasach, gdy narody
Zapomną waśni — i w rodzinę wielką
Połączą się. Słuchaliśmy poety
Z zapartym tchem.

Wspomnienie Puszkina najgłębiej ujęło i określiło treść rozmów Mickiewicza z przodującymi przedstawicielami postępowej Rosji pierwszej połowy XIX wieku. Marzenie o przyszłych czasach, „gdy narody zapomną waśni i w rodzinę wielką połączą się" od tej chwili coraz silniej przyświecać zaczęło wspólnemu wyzwoleńczemu ruchowi Polski i Rosji. Przyjaźń dwu wielkich wieszczów stanowiła drogowskaz i testament.

Ale dopiero późniejsze rewolucyjne pokolenia, dopiero Rewolucja Październikowa zrealizowała w pełni idee szlachetnego braterstwa i przyjaźni dwóch narodów.

Grzegorz Timofiejew

ANDRZEJ DRAWICZ

POWIEŚĆ O PROSTYM SZCZĘŚCIU



Wojciech Zukrowski

TAK więc otrzymaliśmy jeszcze jedną powieść Wojciecha Żukrowskiego. Zbytecznym jest właściwie mówić o zainteresowaniu, z jakim bierzemy „Córeczkę" do ręki. Nie tylko dlatego, że jest dziełem pisarza o ogromnej skali możliwości twórczych — lecz głównie z tej racji, iż możliwości te były dotychczas wyzyskiwane w sposób bardzo różnorodny, często aż zaskakujący. Owo zaskakiwanie mogło zresztą zachodzić tylko w ograniczonym zakresie — rychło bowiem nauczyliśmy się odnajdywać poza różnorodnością tematów i form — skomplikowane oblicze niełatwej ewolucji ideologicznej pisarza.

Odbicia aktualnego, konkretnego etapu tej ewolucji staramy się także poszukać i w „Córeczce". Sprawa nie jest prosta — a uproszczenia mogą ją najwyżej skomplikować. O pełną charakterystykę możnaby, rzecz jasna, pokusić się tylko w szerszym studium, którego piszący te słowa nie ma zamiaru w tym miejscu podejmować.

Warto natomiast zająć się bliżej „Córeczką" — i to z tych samych względów, o których mowa była wyżej. Książka jest charakterystyczna, po pierwsze przez zakres tematyki. Zakres ów stwarzają — mówiąc najogólniej — sprawy intymne, osobiste zamykające się w kręgu życia rodzinnego. Nie darmo Jan — głowa rodziny, wyposażony w dużym stopniu w elementy autobiografii samego autora — zwierza się w pewnym miejscu ze swych planów pisarskich. „Chciałbym taką książkę o prostym szczęściu napisać..."

Taką książką ma być „Córeczka". Mała Basia rosnąca pod troskliwym okiem obojga rodziców, jej odwiedziny w ogrodzie zoologicznym i przyjaźń ze zwierzętami, jej znajomi starsi i młodsi — cały ów zaczarowany świat wczesnego dzieciństwa znalazł w Żukrowskim chętnego i wdzięcznego obserwatora. W rezultacie z dużą satysfakcją czyta się te pogodne scenki drobnych codziennych radości i smutków — z uznaniem obserwuje się autorską umiejętność stwarzania obrazków lirycznych, ciepłych — a przecież nie czułostkowych. Nie tylko, gdy chodzi o małą Basię. Także w wypadku innych obiektów pisarskiego zainteresowania — starego emeryta Ignalki Korowaja, robociarskiej rodziny, sąsiadującej z pisarzem — jego znajomych i przyjaciół.

Jest doprawdy coś zniewalającego w pogodnej atmosferze tej bezpretensjonalnej książki. To zwłaszcza w zestawieniu z tak licznymi dotychczas próbami pisania o współczesności pozbawionymi całkowicie lub częściowo tej niezbędnej, szerszej perspektywy widzenia ludzkiego losu — obejmującej również sprawy rodzinne, stosuki towarzyskie i tym podobne.

Ileż razy zainteresowanie pisarza bohaterem kończyło się z chwilą, gdy odszedł on od maszyny, pieca hutniczego czy górniczego „przodka". U Żukrowskiego zaś wówczas właśnie się ono zaczyna — obejmując jednocześnie i zagadnienia produkcyjne. Bohaterem jest bowiem pisarz — i „męki twórczości" dane jest również czytelnikowi obserwować.

Nie ulega wątpliwości — ten obraz prostego szczęścia nie może być w tym wypadku przyrównany do jakiegoś filisterskiego, familijnego „landszaftu", jakich nie brak w spuściźnie tuzinkowych, drobnomieszczańskich naturalistów. Truizmem byłoby dowodzenie w tym miejscu, że charakter, a zatem i sposób widzenia rzeczy najintymniejszych, najbardziej osobistych jest zawsze zdeterminowany oddziaływaniem praw rozwoju historycznego w okresie, w którym one zachodzą. Mamy zatem słuszne prawo domagania się od współczesnego pisarza, aby tworząc, ujmował problematykę „prostego szczęścia" poprzez perspektywę tego rozwoju, aby dostrzegał jego głębsze, istotniejsze znaczenie.

Żukrowski je dostrzega w dużym stopniu — to niezaprzeczony fakt. Szczęśliwe dzieciństwo Basi, której spokojnego snu nie mąci niepewność jutra, którą czeka bogate, pełne życie w nowym społeczeństwie socjalistycznego kraju, słoneczna starość emeryta Ignalki Korowaja, mającego jeszcze wiele do przeżycia — ich losy, tak jak nam je ukazał autor, są możliwe jedynie w takich historycznych warunkach, w jakich żyjemy obecnie. Mniej już przekonywająco brzmią rozmowy Jana z żoną Teresą oraz z sąsiadem, majstrem wrocławskiego „Pafawagu" — w których wprowadza autor elementy nawiązywania do spraw ogólnych — walki w obronie pokoju, podniesienia jakości i ilości produkcji. Mimo wszystko, a przede wszystkim na skutek fragmentaryczności tych rozmów pobrzmiewają w nich pewne nutki deklaratywizmu.

Nie dziwimy się jednak tej niepełności, częściowej zresztą, jaka cechuje krąg tematyczny „Córeczki". Autor przedziera się bowiem do pełnego zrozumienia rzeczywistości właśnie poprzez powszedniość i codzienność spraw o których pisze. Wychodzi, jak świadczy o tym cały dotychczasowy jego dorobek, od konkretnej obserwacji owych drobnych fakcików rodzinnego, czy towarzyskiego życia — ich kształt, smak, barwa narzucają mu się najpierwej. O ile jednak dawny Żukrowski pozostawał najczęściej („Mądre zioła" są tu wyjątkiem) urzeczony kręgiem owych obserwacji, bez względu na to, czy miały kształt realny, czy zniekształcał je grymas groteski — o tyle w „Córeczce" zarówno zasada doboru i układu materiału, jak i komentarz usiłuje odegrać rolę uogólniającą. To wyzwolenie się pisarza z opłotków ciasnej rejestracyjności faktów, z chłonięcia szczegółów, a następnie urzekania ich „dziwnością" — stanowi potwierdzenie postępującej ewolucji jego świadomości. Selekcja faktów, ukazywanie dialektycznych związków pomiędzy nimi, odzwierciedlanie ogólnego poprzez szczegółowe — to przecież znamiona realizmu.

Tak wyglądałby wniosek pozytywny. Zastrzeżenie natomiast brzmi: — to jeszcze za mało. Niesposób oprzeć się wrażeniu niedosytu, gdy zamiast oczekiwanych książek mających dla rozwoju pisarza znaczenie przełomowe, zasadnicze — otrzymujemy kilka miłych drobiazgów — tak czy inaczej dość marginesowych. Mówi nam o tym nie tyle treść książki — gdyż tematyka rodzinna jest jak najbardziej, jak się już rzekło, uprawniona do zajmowania miejsca w kręgu problematyki współczesnej. I raczej w zbyt małym stopniu wykorzystują pisarze te uprawnienia — za mało interesują się całokształtem życia ludzkiego.

To wszystko prawda. To też trzeba. Ale ton naszym narzekaniom poddaje i sam autor w swych bardzo licznych, zaledwie zamaskowanych postacią Jana wynurzeniach autobiograficznych. Wynurzenia te należy oczywiście traktować z dużymi zastrzeżeniami — wychodząc z założenia, że nie to co sam pisarz o sobie sądzi — lecz to, jak myśli o nim ogół czytelników, jest najistotniejsze i umożliwia pełną ocenę. W tym jednak wypadku oba sądy pokrywają się. Cóż dostrzegamy, zapuszczając ciekawe spojrzenie w głąb pisarskiej „kuchni" Jana? Biedaka szturmują ustawicznie fale doznań, wrażeń, obserwacji domagające się odbicia w literackim kształcie. Bieda z tym, że nie można przecież pisać o wszystkim — a wszystkie sprawy wydają się jednakowo ważne. Toteż bywa i tak, że Teresa zastanie męża po kilkugodzinnym ślęczeniu nad pustą, niezapisaną kartką, gdyż nie mógł on się zdecydować, jak dać wyraz swym swoistym ciągotkom do „wszystkoizmu". Kiedy indziej zaś powie z rozbrajającą szczerością: „Męczy mnie nadmiar świata".

Chcemy zachować niezbędną dyskrecję, a ponadto nie brać dosłownie za wyznanie samego autora tego wszystkiego, co przypisał Janowi. Ale przecież niesposób oprzeć się wrażeniu, że właśnie „Córeczka" jest w pewnym sensie upustem dla tego „nadmiaru świata". Zawiera krąg doświadczeń i obserwacji wychwyconych z codziennego życia domowego pisarza, z jego współżycia z najbliższymi, z codziennych radości i smutków. Sprawia wrażenie garści efektownych dla oka odprysków, powstałych podczas pracowitego, mozolnego wykuwania wielkiego cokołu. Są to odpryski choćby przez samą formę krótkich opowiadań, osnutych na tle jakiegoś zdarzenia, czy spotkania z ludźmi lub zwierzętami, przez migawkowość i szkicowość ich ujęcia. Stąd książka jest mimo wszystkich zalet i satysfakcji, jakie daje w czytaniu — marginesem.

Taki jest skomplikowany charakter tej na pozór prostej książeczki. Zmusza bowiem nie tylko do jeszcze jednego zastanowienia nad ogólnym charakterem twórczości autora — co jest nieuchronne przy pisaniu każdej recenzji. Nasuwa ponadto spostrzeżenia odnoszące się do potraktowania przezeń dość specyficznego działu tematyki.

A wnioski na przyszłość? I te również formułują się nieodparcie. Chcemy dalszych pozycji, gdzie „nadmiar świata" ulegnie ograniczeniu do spraw pierwszorzędnych, najistotniejszych. Chcemy dalszych dowodów pogłębiającej się ewolucji autora. Czekamy na „Dni klęski".

Andrzej Drawicz

WOJCIECH DRYGAS

UWAGA—CHLESTAKOW!

NIE masz lektury bardziej pasjonującej i trzymającej czytelnika w napięciu od stronicy pierwszej do ostatniej, niż pełen pasji demaskatorskiej gogolowski „Rewizor". Od momentu, kiedy utwór pod tym tytułem zawędrował do biblioteki w Woli Pyczkowskiej, sekretarz Prezydium GRN Romald Miecznik kładł się spać już o zmierzchu i do późnych godzin nocnych, opatulony japońskim szlafrokiem swojej połowy, drżał o śliską przyszłość horodniczego.

Chociaż na drugi dzień niewyspany i poziewający, jaśniejszym jednak okiem oceniał ważność swych obowiązków, łając całą kancelarię, że siedzi jak malowana.

- Ten Gogol to łepek... Ho, ho... Jest taka książka, w której opisał on jednego horodniczego. To taka funkcja, wiecie, starościńska, albo trochę niżej. Ten horodniczy otrzymał zawiadomienie ściśle poufne, że do jego powiatu przyjedzie rewizor, czyli taki nasz inspektor ze szczebla wojewódzkiego. Nie potrzebuję wam mówić, moi kochani, że horodniczy bardzo się tą wiadomością przejął. Bo kogo nie przejmuje czynnik z województwa? Kogo? Tak jakby ci coś u dentysty oddech zapierało, o tutaj, w samym środku... Zresztą co tam dentysta. Znam jednego Buksiałowicza z Rawy Mazowieckiej, ten rwie zęby, że w uszach trzeszczy. A mimo to wolę jego bormaszynę i fotel z pompką, niż inspekcje, zwłaszcza te po linii skarg i zażaleń. A co do tego rewizora, to jeszcze nie wiem dokładnie po jakiej linii miał on straszyć horodniczego, bom nie doczytał pierwszego aktu...

— A tego Gogola to czytajcie. Bardzo pouczająca, że tak powiem, lektura dla szerokich mas pracowników umysłowych. Bardzo...

Nie dotarł jednak miłośnik gogolowskiego pióra do połowy trzeciego aktu komedii, gdy rogatki Woli Byczkowskiej przekroczyła osobistość kubek w kubek podobna do przeżywanej po nocach postaci samozwańczego rewizora — Chlestakowa. Tą tajemniczą — jak pod wpływem lektury wydawało się sekretarzowi — i dziwną figurą, był niejaki Mandatowiczyński, przesunięty z powiatu do gminy. Ze względu na nieobecność przewodniczącego GRN, który odpoczywał na wczasach i jego zastępcy, przebywającego na jakimś kursie, obowiązek przyjęcia nowego pracownika przypadł w udziale sekretarzowi Miecznikowi.

Po raz dziesiąty brał więc do ręki urzędowo spreparowane pismo, w którym władze zwierzchnie donosiły, że czują się w obowiązku przenieść ob. Mandatowiczyńskiego na szczebel gminny, jako bardziej odpowiadający jego kwalifikacjom, i że dane personalne o jego osobie, jako też pewne sugestie dotyczące grupy uposażeniowej, prześlą w terminie późniejszym. Skąpe w szczegóły pismo kończyło się taką oto uwagą: *„Zaleca się użyć w/wym. do likwidowania wąskich gardeł na odcinkach wskazanych mu przez Was."*

Sterczący wiecznie za plecami sekretarza starszy wiekiem i urzędem referent z komisji kulturalno-oświatowej pogładził się niespokojnie po gardle, a w głowie zaświtało mu strzeliście: „Zakonspirowany inspektor ze szczebla wojewódzkiego!" Domniemanie to, wypowiedziane szeptem, nie tylko że nie nabawiło jego zwierzchnika bólu głowy, ale owszem, rozjaśniło czoło.

Tego jeszcze dnia nowy pracownik, wokół którego tworzono już legendę, rozpoczął swoje urzędowanie. Niezaspokojona ciekawość trapiła referentów, podsekretarzy i maszynistki. Czemu taki sekret? Co to za papier pokazał sekretarzowi? I dlaczego obywatel starszy referent złapał się za gardło? Oprócz tych, mnóstwo innych przedstawiało się zagadek, które nie dawały się rozwiązać na poczekaniu.

Na drugi dzień obudziły się w siedzibie GRN na nowo języki i jakieś niewyraźne światło padło na tę ciemną historię. Pierwsza na pewien ślad, tak cieniutki jak niteczka, wpadła maszynistka.

— Mam! — zawołała wielkim głosem. — Czy nie mówi wam nic to opowiadanie naszego starego o rewizorze? Już ja go znam. Sklecił na poczekaniu bajeczkę, żeby nas dyskretnie uprzedzić o przybyciu inspektora. A wyście myśleli, że to tylko takie literackie gadanie i okna otwieraliście. Świeżego powietrza wam się zachciewało. No, teraz poczujecie to świeże powietrze...

W tym samym czasie sekretarz Miecznik komponował sążnisty list do przewodniczącego, przebywającego na wczasach w Kudowie. Z listu, utrzymanym w tonie dowcipnym, przebijała jednak głęboka troska o sprawne funkcjonowanie aparatu administracyjnego gminy.

„„...i zawiadamiam Was, drogi Kolego, że po odbytej naradzie z naszym nowym nabytkiem w postaci ob. Mandatowiczyńskiego, postanowiłem przy jego cennej współpracy zlikwidować niektóre wąskie gardła w kancelarii. Ob. M. — jak sam powiada — jest podobno specjalistą od reorganizacji. Już sama jego obecność w gminie wpływa mobilizująco na pracowników, tak



Rys. Bimali Horska

jakby duch jakiegoś rewizora na nich spłynął i czuwał przy biurkach. Wiecie, już jestem przy czwartym akcie i dziękuję Wam, żeście mi przeczytanie tej książki polecili. Na dzisiaj kończę i ściskam dłoń etc. etc."

Takim sposobem ob. Mandatowiczyński przystąpił niezwłocznie do urzeczywistniania swych racjonalizatorskich usprawnień w dziedzinie gospodarki publicznej. Będąc autorem niepublikowanej nigdzie rozprawy p.t.: „Uwagi o przelotowości spraw w machinie niektórych urzędów i instytucji" — posiadał w tym względzie olbrzymie przygotowanie teoretyczne. Wszelkie jego zabiegi szły w kierunku ustalenia prawidłowej drogi dla nadchodzących i wychodzących z GRN pism, tak aby krążyły one na podobieństwo słońca zawsze jednym i tym samym torem. Wyznaczona dla pamięci kredą elipsa, wybiegająca łukiem spod krzesła woźnego, przekreśliła wszystkie biurka i stoliki odpowiednie rozmieszczonych pracowników. Czynności słońca w elipsie racjonalizator przyznał sekretarzowi Miecznikowi. Miał on krążyć bez przerwy dokoła kancelarii, podpisywać co potrzeba, kontrolować i dodawać otuchy. Przysposobiwszy w ten sposób pracowników do zracjonalizowanego systemu urzędowania, ob. Mandatowiczyński klasnął w dłonie i zarządził:

— Zaczynamy!

Woźny puścił w ruch pierwsze pismo — przyjął je wydział gospodarki komunalnej, przerzucił do zdrowia, zdrowie podało oświacie, oświata — komunikacji, komunikacja — handlowi, handel — skargom i zażaleniom, zażalenia pomedytowały trochę, lecz ostrzeżone krokami zbliżającego się słońca, zdeterminowanym wyrzutem odbiły w stronę rolnictwa, rolnictwo trafiło celnie w... woźnego.

— Już załatwione? — zdziwiło się słońce.

— Jeszcze nie! — odparł woźny. — To jest pismo zaadresowane do was, obywatelu sekretarzu, a wy przecież nie stoicie na linii, tylko kręcicie się jak jaki kot w pośrodku...

— Nie mówi się na linii, tylko w elipsie — pośpieszył z wyjaśnieniami ob. Mandatowiczyński. — A co do pisma, to włączcie je do segregatora. W moim systemie nie ma niespodzianek, wszystko ma swój ustalony bieg... — a zwracając się do sekretarza dodał: — Musicie mimo wszystko znaleźć na swoje miejsce zastępcę i postawić go na torze, w przeciwnym razie woźny stworzy nam wąskie gardło...

— Nie ma etatu... — jęknął sekretarz, lecz spiorunowany wzrokiem ob. Mandatowiczyńskiego poprawił się: — Zajmijcie w takim razie moje miejsce...

Szukając uciszenia dla roztrzęsionych nerwów, sekretarz Miecznik zanurzył się wieczorem w szlafrok i sięgnął po swojego „Rewizora". Dokończył czwartego aktu i rozpoczął piąty. Przerażający obraz rozkładu moralności publicznej w prowincjonalnym miasteczku carskim, wstrząsnął nim do głębi. Ludzie tej komedii, pisanej przecież przeszło sto lat temu, równie żywi jak u pradziadów wzbudzali w sekretarzu uczucia: przestrachu, śmiechu i oburzenia. W obolałych jego skroniach tętnił niepokojąco głos sumienia społecznego.

Świtało już za oknem, kiedy zerwał się z łóżka, odłożył książkę i zaczął się szybko ubierać.

— O nic nie pytaj! — oświadczył krótko rozespanej żonie. — Śniadanie zjem później... Muszę uprzedzić tego Chlestakowa...

Za chwilę ze wszystkich okien kancelarii GRN wylało się na drogę szeroką strugą światło. Miecznik szperał w papierach, które skierowane onegdaj do niego — utopił w segregatorze woźny. — Wszystko załatwić na bieżąco, wszystko osobiście dopilnować, wszystko osobiście dopilnować bo ten młynek może porządna reorganizacja pracy, a może — pułapka. Już się wkręcił na zastępcę i już część papierów wyminęła sekretarza „po elipsie". Być czujnym, uprzedzać, dopilnować!... Z tym niezłomnym postanowieniem sięgnął po pierwszy z wierzchu dokument. Była to opinia o ob. Mandatowiczyńskim, wystawiona przez województwo i powiat i przesłana z opóźnieniem do gminy.

Władze zwierzchnie z wysokości piedestału wojewódzkiego informowały: „... w/wym. cierpi na przerost ambicji, z tych więc względów należy otoczyć go życzliwą opieką. W żadnym wypadku nie powierzać mu funkcji, które resortowo wiążą się bezpośrednio ze sprawowaniem czynności organizacyjnych. Fantasta. Na nadaje się do pracy na szczeblu wojewódzkim. Za powstałe z winy w/wym. szkody organa wojewódzkie czynią odpowiedzialnym Ministerstwo, które przesłało z opóźnieniem swoją opinię."

A u dołu odręczny dopisek: „Przekazać w/wym. w trybie przyśpieszonym do powiatu."

Opinia powiatu brzmiała wyjątkowo powściągliwie:

„Po smutnych doświadczeniach na naszym szczeblu kierujemy w/wym. do gminy Wola Byczkowska, jako najdalej wysuniętej w powiecie Za powstałe szkody czynimy odpowiedzialnym województwo, które przesłało nam z opóźnieniem opinię o w/wym."

Sekretarz Miecznik zastanowił się przez chwilę, by zamaszystym pismem dorzucić u spodu:

„Uratował nas od zagłady Gogol. Żadnych szkód. Zdekonspirowanego Chlestakowa przekazujemy na wychowanie do gromady."

Wojciech Drygas

MIROSŁAWA ŁOJEWSKA

Po książkę radziecką...

BADAJĄCEGO stan czytelnictwa wsi polskiej z miejsca uderza charakterystyczny fakt: oto książka radziecka szybciej i wcześniej zdobyła sobie serca chłopskich czytelników niż nawet nasza współczesna literatura.

Po radziecką książkę sięga młodzież zorganizowana i chodząca jeszcze luzem. Ostrowski, Fadiejew, Kassil, Katajew należą do ulubionych jej pisarzy.

Raduje szczególnie przy tym to, że za radziecką książkę chwytają coraz częściej i starsi chłopi.

Starzy chłopi mają najpełniejszą skalę porównania nowych lat z dawnymi, ich życie jak klamrą spina kilka epok i to — między innymi — różni starych od młodych. W płaszczyźnie trudnego nieraz i ciężkiego życia mało czy średniorolnego chłopa odnajdziemy bogaty materiał ilustrujący fazy rozwoju kapitalizmu w Polsce. Dobiegający 60 lat życia podkarpacki chłop opowie pod wpływem lektury zarówno o wyjazdach „za chlebem" w zamorskie kraje jak i międzywojennych latach, kiedy wieś znalazła się w straszliwym „gettcie chłopskim", z którego nie było wyjścia.

Kobiety wiejskie często wymieniają wśród przeczytanych książek „Matkę". Czytając słowa Pawła zwrócone do matki: — „Masz 40 lat — a czyś ty żyła?"... popadają w zadumę nad swoją własną przeszłością i, co więcej, natychmiast rozgraniczają złe lata swojego życia od dobrych, całą siłą solidaryzują się z bohaterką walczącą o lepsze jutro.

„W książce „Matka" dużą rolę odegrała sama matka. Postać ta bardzo mi się podobała, a jako jestem też matka, to ją dobrze rozumiem. Wiedziała ona, że za taką pracę czeka ją duża kara, a nawet śmierć, mimo to nie przestawała ona synowi pomagać i prowadzić prac wrogich dla rządu carskiego. Kiedy jej syn znalazł się w więzieniu nie przestała ona pracować i przeżywała nieszczęście syna tragicznie lecz spokojnie, żywiąc nadzieje, że zwycięży proletariat, a wtedy syn znajdzie się na wolności. I dlatego, żeby go mogła kochać jak matka, musiała walczyć jak rewolucjonista".

W tysiącach wypowiedzi chłopskich o książkach nierzadko zdarza się takie rozumienie matczynej miłości do syna, jak u cytowanej 50-letniej chłopki spod Żywca. Starzy wyrzuceni z ziemi przez dorastające pokolenia, „puszczani z torbami na dziady", krwawe spory rodzeństwa przy podziale morgów — te własnie bolesne wspomnienia wyzwoliła „Matka". Niewiele pisze o sobie starsza już gospodyni wiejska. Musiała jednak przecież dodać, że jej duma— syn, buduje Nowe Tychy, a córka będzie nauczycielką. A sama? Jest aktywistką koła Gospodyń Wiejskich.

Jest coś wzruszającego w wypowiedzi 55-letniego chłopa Łoja Piotra (Krakowskie) na temat „Kawalera Złotej Gwiazdy".

„Utwór „Kawaler Złotej Gwiazdy" to książka, z której można zaczerpnąć liczne doświadczenia i przykłady dla podniesienia produkcji w Planie 6-letnim. Musimy przekształcić naszą gospodarkę rolną, aby skończyć na zawsze z wyzyskiem wiejskim i kumoterstwem. Trzeba nam — jak to opisuje Babajewski — spółdzielni produkcyjnych. Opisuje nam trudności, osiągnięcia i niedociągnięcia kołchozów radzieckich".

Pomyślmy tylko — starszy już chłop z „galicyjskiej" nędzarskiej wsi, małorolny, którego życie szczególnie musiało być ciężkie, skoro wspomina, że połowę życia szukał „gdzieby coś dorobić". A teraz jakby się raz jeszcze narodził, wybiega w przyszłość, agituje wyraźnie po wsi za socjalistyczną gospodarką. Takiego „cudu" może dokonać książka, która mówi prawdę, w którą się bez zastrzeżeń wierzy.

Starsi czytelnicy nie wzruszają się radziecką lekturą bezprzedmiotowo, nie zbywają nas oświadczeniami, że książka „dała im wiele", poruszyła do głębi", lecz jasno i wyraźnie przenoszą doznawane wrażenia na konkretny język osobistych i gromadzkich planów, zmierzających do ulepszenia życia.

Oto wypowiedź Anieli Zienkiewicz z powiatu gryfickiego: „Po przeczytaniu pięciu książek radzieckich zastanowiłam się co zrobić, żeby lepiej było w naszej gromadzie. Wysnułam takie wnioski: 1. Założyć dzieciniec, aby kobiety mogły spokojnie pracować w polu, bo i sama gdy idę do buraków biorę ze sobą dziecko w pole. 2. Zwiększyć hodowlę bydła i trzody chlewnej. 3. Zająć się zespołowo kopaniem torfu. 4. Częściej zbierać się w świetlicy, czytać książki i gazety i omawiać różne zagadnienia gospodarcze i polityczne. 5 Członkinie Koła Gospodyń Wiejskich powinny przodować w pracach na roli i w życiu społecznym".

Wielu starszych chłopów zabiera się energicznie do podniesienia produkcji pod wpływem radzieckiej książki.

Zdumiewa jednak i raduje równocześnie fakt, że posiwiali już ojcowie i matki z rozmaitych wsi, z różnych stron kraju chwytają — trudny zda się — humanistyczny sens radzieckiej literatury. Obok spraw gospodarczych czytamy chłopów piszących o moralności socjalistycznej, czy socjalistycznym wychowaniu.

Słuszczaka Stefana z Miechowskiego uderzyła w książce Ażajewa „Daleko od Moskwy" wytrwałość radzieckiego człowieka, zalety jego charakteru. „Z tej książki — pisze — można brać przykład do czego może doprowadzić wytrzymałość i bohaterski przykład w pracy. Mimo, że wszędzie znajdują się malkontenci, wytrzymałością i odwagą przezwycięża się trudności".

W dalekim PGR-ze Sławianów (pow. Złotów) robotnica rolna H. Klinger przeczytała Makarenki „Wychowanie w rodzinie". „Książka ta powinna być przeczytana przez starszych i młodszych ojców i matki wiejskie, a nawet przerabiana na specjalnych kursach, bo u nas ludzie nie umieją zgodnie z nauką wychowywać pokoleń". Czytający chłop wychodzi daleko poza sprawy rolnicze, poza walkę o wyższą wydajność z hektara. Kiedy pisze o spółdzielni produkcyjnej, nowej bazie, myśli równocześnie i o nadbudowie — instytucjach i formach wychowania nowego człowieka.

Mirosława Łojewska



HORACY SAFRIN

F R A S Z K I

O WALCE KLASOWEJ NA WSI

Kiepski to jest paradoks, gdy w klasowej walce
na wyczyny k u ł a k a patrzy się przez p a l c e.

SPEKULANT WIEJSKI

Że ma żyłkę kupiecką, nikt nie wątpi o tym.
Nie darmo przez tyle lat ż y ł o w a ł biedotę!

TAKTYKA KUŁACKA

Ilekroć zgłosi się doń Gminna Rada,
to na złą glebę, to na aurę biada.
Lecz ten, co zboże ukrywa w stodole,
działaczy wiejskich nie w y w i e d z i e w p o l e.

PISARZ POWRÓCIŁ Z TERENU

Poznał hodowli bydła najskrytsze tajniki,
ale w swych reportażach stale — s t r z e l a b y k i.

O PEWNEJ POWIEŚCI „PRODUKCYJNEJ"

Wre tam walka zacięta o wiejską spółdzielnię,
jest i bogacz, synonim intryg i chciwości,
są traktory, żniwiarki, kilofy i kielnie...
Tylko brak w niej jednego: ludzi z krwi i kości.

O PEWNYM B. OBSZARNIKU

Nicpoń, co w luksusowym rozbijał się aucie
i wyniosłym spojrzeniem darzył „gmin ubogi",
nie może dziś zaprzeczyć oczywistej prawdzie,
że go nowy porządek — postawił n a n o g i.

Gazetka gminna

Budowali drogę...

Takiej techniki budowy dróg jak u nas w Mirosławicach Dolnych (woj. Zielona Góra) nigdzie jeszcze nie zastosowali.

Po pierwszych jesiennych deszczach rozmokła nam ta droga przez wieś tak dalece, że kto chciał wyglądać jak człowiek, nie wychodził wieczorem z domu. Wyjątek stanowił nasz sołtys, który przeszedł szczęśliwie coś ze 100 m, ale dalej skręcił nogę. Noga sołtysa spowodowała, że wielkie dziury wyłożono okrąglakami. I to zaraz na drugi dzień. I cóż z tego, kiedy deszcze padały nadal a drzewo, jak jedni mówią, spłynęło z wodą, czy też zniknęło, jak powiadają inni.

W sprawie naszej drogi byłoby cicho, gdyby nie to, że mamy radnych. Oto jeden z nich, wracając „do dom" w dobrym humorze, usiadł nad sporym dołkiem, a radny, jak sami wiecie, skoro tylko usiądzie to pomyśli, że jest na posiedzeniu i natychmiast zasypia. Zmókł tedy biedaczek, przeziębił się, ale też posunął naprzód technikę reperacji drogi.

— Trza tu coś takiego, czego ludzie nie zabiorą. No i nasypali piasku. Lecz deszcz padał dalej, popłynął piasek z wodą.

I znowu zamilkłyby o naszej drodze gminne kroniki, gdyby nie to, że podczas białego dnia zagapił się i wpadł w kałużę sam pan technik drogowy. Zaraz nawieziono gliny i zaczęło się nowe nieszczęście. Ludzie gubili buty i nie każdemu udawało się odnaleźć, nie mówię już własny, bodaj tylko pasujący Po tygodniu można było spotkać u nas takich, co na jednej nodze nosili półbuty, na drugiej zaś oficerki.

I tak pozostało, mimo tego, że niczym królewna z bajki zgubił na naszej drodze piękny bucik pan inżynier drogowy. Ktoś ten bucik porwał, bo u nas takie teraz prawo I cóż ten inżynier? Pojechał bez buta, lecz zapowiedział, że sprowadzi walec parowy, każe nawieźć tłucznia. Na razie jednak nie zjawia się, podobnie jego podwładni, przykład bowiem idzie z góry.



Poznaliście stosowane u nas metody reperacji dróg, ale jesteśmy przekonani, że u siebie ich nie zastosujecie.

Piotr Pigwa.

Cztery wcielenia pana magazyniera

Czy może jeden i ten sam człowiek występować w kilku osobach? Tego problemu nie możemy rozwiązać, my—chłopi z gminy Wielki Bór (pow. Częstochowa). Na nasz prosty rozum wychodzi, że nie może, ale skoro znalazł się jeden taki i to nie byle gdzie, bo w samym GS-ie?

Aby się o tym przekonać należy tylko popróbować odstawy ziemniaków do magazynu GS-u. Przyjmie was u progu ob. Siwy, ustawi w rządek i zapisze po kolei, co potrwa godzinkę z hakiem, jeżeli oczywiście chłopów nie będzie więcej niż 20-tu.

Następnie — ważenie. I znowu ob. Siwy na widowni. Trwa to przeciętnie 2—3 godziny. Nadchodzi południe, przerwie więc znojny trud, aby zjeść obiadek i przysposobić się do następnego wcielenia. A dalej? Dalej znowu ob Siwy, tym razem w charakterze wypisującego kwity, co zajmie mu jeszcze jedną godzinkę. Z kolei wystąpi jako kasjer. Wypłata pociągnie się małe dwie godziny. Zaabsorbowani ciągłym ustawianiem się w rządek, po trosze zaniepokojeni skurczami żołądka, ani się spostrzeżecie, że za oknami ciemno.

A jak zjedzie dajmy na to — 40 chłopów? No to sami sobie winni.

Godzi się jednak zauważyć, że ob Siwy nie zawsze występuje jako wcielony w kasjera. Zależy to od ob. prezesa Bikowskiego, który da pieniądze, albo nie da. A to znowu od tego zależy, czy się upije czy nie. To znów zawisa od pogody. Orientując się zatem według niej, należy raczej zwozić ziemniaki w dni słoneczne, gdyż w deszczowe ob prezes zwalcza melancholię, jaka go opada Ludzie nazywają tę walkę zalewaniem robaka smutku

Jakże więc roztrzygnąć problem, skoro praktyka poucza że ob Siwy może występować w kilku wcieleniach? Myślimy tak: owszem, może, ale nie powinien. Lecz jak o tym przekonać PZGS w Częstochowie?

Zaproponujemy chyba, żeby członkowie zarządu spróbowali w deszczowy dzień odstawić ziemniaki w magazynie u Siwego. Sami osiwieją, albo zmądrzeją

Jan Biegała.

Awanse... „sąsiedzkie"

„Nie ma to, jak sąsiedzi — oni zawsze człowiekowi pomogą" — mawiał Aleksander Petrykajtis w naszej gromadzie Krempin (powiat Sulęcin).

A jakiejże to pomocy — zapytacie — i od jakich sąsiadów doświadczył ów Petrykajtis?

Ów Petrykajtis przybył do naszej gromady „na osiedlenie" pierwszy. Naściągał pod swój dach co się dało i skąd się dało: stąd szafę, stamtąd krowę czy konia, skądinąd wóz. Szykował dostatnie gospodarstwo... Potem najął 2-ch parobków, którzy na niego pracowali za 500 zł(!) miesięcznie (na starą walutę). Sam zaś dał się poznać jako utracjusz i hulaka, skłonny do pijatyk z sąsiadami. Z sąsiadami — ino nie z „parciakami przez miedzę, zakopanymi w gnoju" — jak powiadał. On miał przyjaciół w gminie, ba, nawet w powiecie. Byli wówczas tacy „lepsi" w gminie i w powiecie.

A kiedy uciekł jeden parobek i „zakosztowawszy szczęścia" na szerokim świecie, pociągnął za sobą drugiego, do pracy na gospodarstwie pozostał sam Petrykajtis. „Nauczy go wreszcie bieda uczciwie pracować" — powiadali we wsi, ale Petrykajtis odpowiadał: „temu bieda, kto płacze..." i patrzeć ...sprzedaje konia, wóz, krowę. Na polach wyrosły chwasty, gromada zmuszona była napiętnować go za niewywiązywanie się z obowiązków wobec państwa.

Zaniepokoili się Petrykajtisowi sąsiedzi — ci „lepsi" z gminy — ale nie ugorami, ino, rychłym końcem, który zapowiadał się Petrykajtisowi, toteż pomogli mu gładko, bez hałasu, zrzec się gospodarstwa, ściślej mówiąc, ugorów, bo była to ruina.

Poszukano mu posady. Osiadł teraz „na państwowym chlebie" — jako sklepowy w Krzeminie. Nie zawiódł „zaufania" sąsiadów, ale dlatego też szybko tym razem wyleciał z posady. Remanent ujawnił niedobór półtrzecia tysiąca złotych. Nie to jednak było „zasługą" Petrykajtisa: on przecie zręcznie kierował nurt zaopatrzenia w opłotki „sąsiadów", głośno narzekając na braki, zręcznie czerpiąc z owego „świeżego grosza" spółdzielczego na sąsiedzkie pijatyki.

Wzrosła więc jego sława u „sąsiadów" i co za tym idzie, sąsiedzkie poparcie. Tym razem niefrasobliwym ryzykantem zainteresowali się już „sąsiedzi" z powiatu — stateczni kombinatorzy. Znaleźli że Petrykajtis należał kiedyś do ZSL-u, odszukano więc legitymację, dolepiono (błahostka!) za dwadzieścia parę miesięcy znaczków i jako „ZSL-owskiego aktywistę" zaczęto go jednomyślnie lokować na stolcu gminnego prezesa ZSCh, zarówno przy pomocy „dołów" — sąsiadów z gminy jak i „góry" — z powiatu.

Szybko jednak, o wiele szybciej, niżby sobie tego życzyli sąsiedzi Petrykajtisa — u których na służbie pozostawał — zakończyła się jego rola.

Inni sąsiedzi — ci przez miedzę i z sąsiednich wsi wzięli sprawę w swoje ręce. Po prostu napisali do redakcji. I o tym, że odkąd Petrikajtis zasiadł w GS-ie niewidzialna ręka steruje nawozami sztucznymi do petrykajtisowych sąsiadów, ta sama ręka toczy bale co wartościowych materiałów do skrytek petrikajtisowych znajomych, ta sama dłoń układa na wierzchu podanie o zniżki i przydziały petrikajtisowych przyjaciół, i o tym, że pan prezes trwoni społeczny grosz, szerzy kumoterstwo i dezorganizuje zaopatrzenie.

Rychły więc i ostateczny koniec „awansu" Petrykajtisa nastąpił.

Dziś powiada: — ano teraz już się nie dało opić z sąsiadami sprawy.

Emil Kulik

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Tel.: Red. Nacz. 727-86 Tel.: Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA" Warszawa Marszałkowska 3/5 3-B-26591